

Rok IV.
Kraków, dnia 15 lipca 1910 r.
Nr. 29.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya »Roli«, Kraków ul. Garncarska l. 1.
Cena drobnych ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy.
Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**

W ROCZNICĘ GRUNWALDU.

Święcimy dziś dzień uroczysty ale nie radosny!

Dzisiaj, 15 lipca, mija lat 500, od chwili, jak Polska zdruzgotała potęgę Krzyżactwa, i postępowi niemczyzny zamknęła wrota do krajów słowiańskich. W dniu tym Polska na lat z górą sto stała się najpotężniejszym krajem w Europie. Dzięki zwycięztwu temu, dwa narody, polski i litewski, zaledwie dwadzieścia cztery latu temu złączone pod wspólnym monarchą, zbliżyły się, zawarły braterstwo do dziś dnia trwające.

Oto w krótkich słowach to, co zawdzięczaliśmy wielkiemu dniowi, 15 lipca 1410. Ale z biegiem stuleci dzień wielkiej chwały stał się dniem ciężkim. Obchodzimy go w poniżeniu, a im więcej rozpamiętywać będziemy wspaniałą wielkość naszego narodu podówczas tem boleśniej przyjdzie pochylić głowy nasze nad naszym upadkiem.

Czy jednak jest tak naprawdę, czy jedynie boleść i żal ma Polak dzisiejszy żywić w swej duszy? Na szczęście — nie!

„Grunwald był wielkiem wytężeniem duszy polskiej i wielką ofiarą krwi dla Ojczyzny", — wygłosił niedawno pięknie i słusznie Henryk Sienkiewicz. Pod Grunwaldem wielcy ludzie: Władysław Jagiełło, książe Witold, setki wielkich rycerzy, oraz tysiące bohaterów z dworów szlacheckich i z pod chłopskich strzech okazały, jak należy bronić ojczyzny, do ostatniej kropli krwi. Hołd im złożyć, a z tego hołdu jako pamiątkę zostawić sobie ślub, że się Ojczyźnie kochanej służyć będzie całem życiem — oto nauka pokrzepiająca, oto podniesienie ducha, na dziś nam dozwolone!

Jest i druga nauka: Grunwald przyniósł zwycięztwo, bo stanęli tam społem wszyscy, między sobą: stanęli Litwini i Polacy, razem złączeni, bez swarów i zawiści, stanęła szlachta rycerska i włościanie siermiężni. Wszystkich złączyła miłość wspólna i wspólne posłuszeństwo dla Wiary św, Ojczyzny i króla. Owoce tej zgodności okryły naszych przodków chwałą, a krajowi dały na długie lata pożytek i siłę.



Czcijmy więc to święto ze skupieniem i z powagą, gotując się do pracy dla Ojczyzny życiem uczciwem, szerzeniem oświaty, pracą obywatelską!



Krzyżacy na Litwie.

XXXII. BEZSKUTECZNA RADA.

Zima. — Widmo wojenne w Kiernowie. — Przybysze z Wilna. — Jakie poselstwo przybyło na Litwę. — Jagiełło obrany królem Polski. — Oburzenie mieszczan litewskich, smutek Lezdejki. — Podróż do Wilna z Pojatą. — Lezdejko błaga księcia. — Jagiełły wytrwałość. — Lezdejko wysyła Trojdana.

Słońce coraz już niższą drogą tocząc blade swe koło, dozwalało zimie zaledz kraje litewskie. Wszystko lodem zmartwiałe, w uśpieniu zdało się trzymać całe przyrodzenie.

Zasklepiony swej chacie mieszkaniec cieszył się niezmiernie, jeżeli słońce łaskawe zajrzało czasem w jego okienko, ale to szczęście rzadko go kiedy spotkało Już ciągiem dni kilkunastu mgły gęste ciążyły ziemi. Gwałtowne wichry zatrząsłszy nagle gajem Perkuna, okropną Lezdejkę przeraziły trwogą. Dzikie zwierzęta i ptaki drapieżne, łomotem drzew wypłoszone z lasów, przykrym odgłosem powiększały smutne wrażenia. Ale daleko sroższe mieszkańców Kiernowa przeraziły groźby. O północy nagle w opuszczonej zamku wieży powstały tak mocne hałasy, szczęk broni, jęki i narzekania, że kapłani, mający w blizkości mieszkanie, strwożeni w najwyższym stopniu, schronić się musieli do naczelnika, z którym udawszy się na modły, błagali bogów o odwrócenie nieszczęścia. Ale ich ofiary nie zmieniły smutnej rzeczy kolei, a burze i widma z większą się coraz objawiając sromotą, zdały się okropne zapowiadać klęski.

Przez kilka nocy ciągiem trwały te niepokoje, wreszcie wszystko nagle do dawnego wróciło porządku. Z ustąpieniem strachów znikły i mieszkańców obawy, ale Lezdejko, pamięć ich w troskliwej chowając myśli, zawsze się lękał smutnego wypadku. Raz w południe, wyszedlszy z córką na ganek, aby powitać słońce, ktôse przemogłszy chmury, oświetliło mury zamkowe, spostrzegł zbliżającą się gromadę ludzi. Przywykły odbierać często w tłumach nawiedziny, nie dziwił się wcale mnogiej ich liczbie i mniemając, że to z blizkich osad wieśniacy, szukający jego błogosławieństwa, kazał ich wezwać do siebie, lecz przypatrzywszy się lepiej, po długich opończach i uszatych czapkach, a mianowicie spostrzegłszy śród nich krzesło świątyni, w którem go zwykle do stolicy wnoszono, poznał w nich mieszczan wileńskich. Zdziwiło go mocno niespodziewane ich do Kiernowa przybycie, żadna bowiem uroczystość, żadna ofiara nie zdała się w tej porze wymagać jego bytności w stolicy. Przywitawszy ich tedy ze zwykłą łaskawością, pytał o przyczynę przybycia.

— Mamy, miły nasz ojcze! gości na zamku — odpowiedział smutno wójt miejski, całując z uszanowaniem brzeg poły starca — gości, o których się nam nigdy nie śniło. Zaledwie bogowie wrócili nam pana, kiedy ludzka zazdrość znowu chce go nam zabrać i podobno zabierze, jeśli na to nie poradzicie.

Przejęły do żywego te słowa starca. Zaprosił mieszczan do izby i jakby się lękał odkryć okropną tajemnicę, pytał nieśmiało, czy nowy jaki nieprzyjaciel Wilnu zagraża.

— Gdzietam nieprzyjaciel — odezwał się inny. — Ci, co go nam chcą zabrać, opowiadają się przyjaciółmi naszymi i z przyjaźni chcą nas dobrego pana pozbawić. Bodajby był lepiej do nas nigdy nie wracał!

— Rzecz się tak ma — rzekł wójt: — Na trzy dni temu, o samem południu pokazał się w Wilnie pięky huf rycerzy i prosto jechał na zamek. Koń w konia, chłop w chłopa, jak gdyby ulał, a złoto zdało się, że kapie, potem szły ich dziwne kolasy i ogromne a poważne zwierzęta, dźwigające na garbach skrzynie i tłomoki; każdy przypatrywał się, bo prawda, że jeszcze takich gości nie widziało Wilno, alem ja zaraz powiedział: nie z pierza należy sądzić o ptaku, zobaczmy wprzód, co nam zaśpiewa.

— Prawda, że pięknie zaśpiewał. Bodajbyśmy go byli nigdy nie słyszeli! — rzekł inny.

— Któż tedy są ci ludzie? — zapytał niecierpliwy starzec.

— Byli to, miły nasz ojcze! polskie szlachcice, zupełnie jak nasze, tylko raźniejsze — mówił dalej wójt. — Książę, zwyczajnie, jako pan dobry, ludzki, kazał im dać gospody na zamku i pytał, czego żądają, lecz oni hardo odpowiedzieli, że tego, z czem przybyli, nie objawią tylko na radnej izbie, żeby cała Litwa wiedziała i radowała się. Wszyscy ciekawi byli ich słyszeć, bo też umieli zagadnąć. Jedni mówili, że okup przywożą za więźnie, drudzy, że przeciw Krzyżakom o pomoc proszą, inni, że nam swój kraj poddają, a jam pomyślał, że gdyby i tak było, to się jeszcze niema z czego tak bardzo radować i zaraz powiedziałem: Bracia! nadstawcie dobrze uszy, łapka to być musi, bo suto złotem sieją po drodze i mile się wszystkim kłaniają. Aż też nareszcie, kiedy rada zaległa ławy, a pan krzesło zasiadł, oni wszedłszy do izby śmiało a strojno, pozdrowili naród wokoło i głośno wyrzekli, że k s i ę c i a n a s z e g o k r ó l e m s o b i e o b r a l i i ż e g o n a s w o j ą z a p r a s z a j ą s t o l i c ę.

— Czy to być może? — zawołał zdziwiony Lezdejko.

— Tak, tak, miły nas ojcze! słyszeliśmy dobrze, jak się bardzo im nasz Jagiełło podobał, słyszeli to i drudzy — mówił wójt — właśnie stałem koło krzesła pańskiego, jak teraz koło was stoję, rada była liczna, bo się pod tę porę wielu książąt i panów zjechało. Starszy ich szlachcic, mąż wysoki i piękny, gdyby bóg jaki, mówił, prawda, prześlicznie i ręką pokazywał, jak ich kraje szerokie i żyzne, i do serca ją przykładał, kiedy rozwodził, że nad cesarskie i królewskie syny przenoszą naszego Jagiełłę. Dodał nakoniec, że to już nie pierwsza bratać się Polakom z Litwą i że najsławniejszy z ich królów miał za sobą córkę Gedymina naszego.

— A Jagiełło cóż im na to powiedział? — pytał niecierpliwy Lezdejko.

— Jagiełło siedząc wąsa kręcił i czekał, co dalej rzekną, ale jak wspomniał Lach o swojej królowej, książe wstał, zdjął czapkę i słonił się, a jam zaraz powiedział: To źle! on go już urzekł! — Jak zaczął potem Lach wychwalać swoją księżniczkę, jak to ona kraśna, mądra i miłosierna, jak jej czołem biją mocarze świata, jakie ma skarby i dostatki, tak go ujął za serce, że dobry nasz pan, ani jej znawszy, ani widziawszy, zaraz powiedział:

— Chrobre Polaki! niech tak będzie, jak wy mówicie, ja wam chętnie będę królował!

— Słyszałżeś to niezawodnie? — pytał udręczony starzec.

— Przecież nie ja jeden tam byłem — odpowiedział wójt. — Owóż od tej pory, jak Lach wspomniał księżniczkę, Jagiełło już czapki nie włożył. Lud zaczął burzyć się w izbie i różnie Lachom przymawiać, ale panowie i liczne przystawy nie dali mu wiele rozprawiać. Jak Lachy rzecz swoją skończyli, książe wziął ich z sobą, prowadził na zamek i odtąd z nimi tylko żyje i bankietuje.

— Ale to gorzej, że się już w drogę do Polski zabiera — odezwał się inny.

— Zaledwie mogę wierzyć, co mi mówicie — ponowił przerażony starzec. Tak nagle, bez porady, bez namysłu, poświęcać szczęście narodu obcym widokom? Nie! to być nie może, wierzcie mi, wy się mylicie. A książęta bracia cóż na to mówią?

— A cóż mają mówić? — odpowiedział wójt — wszak wiecie, że ich piękna gromadka; ciasno im w Litwie, toby radzi jak najprędzej księcia naszego na cudzy chleb wyprawić.

— Gdyby się sam nie spieszył, niktby go nie mógł z jego dziedzictwa wysadzić — odezwał się inny. — Ale te uroki nie teraz już padły na jego biedną głowę. Oj! ta przeklęta Laszka, ta to nam wszystko złe z sobą przyniosła! Ona to naszego pana w lackie sukienki przybrawszy, kazała mu i chodzić i gadać i myśleć i czynić inaczej, i tak go zmieniła, że go już trudno poznać, już teraz ani do niego przystąpić, ani z nim pogadać. W tobie to, miły nas ojcze, cała nadzieja! Jeśli wy go nie odczynicie, przyjdziemy na nieszczęście, jakich jeszcze nie było!

— Bądźcie spokojni! — rzekł starzec. — Jagiełło nie może być tak dalece niewdzięcznym, żeby nas opuszczał, jest to chwila zapomnienia się, która prędko przeminie. Przedstawię mu, co traci i na co się wystawia, on mnie zawsze słuchał, on i teraz nie odwróci się od głosu mojego.

— Zachowaj go nam, zachowaj! — wołali razem Litwini — bogowie ci to nagrodzą.

— Powiedzcie mu ojcze! — mówił wójt — że my nie chcemy bratać się z Lachami. A jeśli im się tak bardzo krew naszych książąt podoba, niech sobie wezmą któregokolwiek z synów Olgierda albo Kiejstuta, lecz niech nam zostawią Jagiełłę.

Tak smutni Wilnianie tłómacząc swe przywiązanie do pana błagali Lezdejkę, aby z nimi razem udał się do Wilna, nieść go tam nawet zaraz chcieli, ale zbyt wzruszony starzec nie był w stanie niezwłocznie wybrać się w tę drogę; kazawszy więc uczynić im gościnność, zalecał spokojny powrót do domu, przyrzekając, że jutro niezawodnie da się widzieć w stolicy. Bolała go nadewszystko nieufność Jagiełły, z którą ukrywał przed nim swoje zamiary; stanęły mu zaraz na myśli przepowiednie swatów Daniela i bardziej go jeszcze utwierdziły w tym wniosku, że niewdzięczny książe nietylko szczęście narodu, lecz wiarę i bogi postanowił opuścić. Co za smutna przyszłość! Jakie sposoby jej odwrócenia!

Skoro dzień zajaśniał, niespokojny starzec niezwłocznie wybrał się do Wilna. Pojata, widząc ojca w tym stanie, nie śmiała pytać, czy ma z nim jechać, czuła ona dobrze, że w zmatwieniach, które go trapiły, nie powinna go odstępować. Dorozumiał się Lezdejko niespokojności córki i chociaż nie radby był wystawiać jej skromności na ciekawe cudzoziemców spojrzenia, pochlebiając jednak sobie, że może jeszcze jej wdzięki obudzą czułość niestałego księcia, kazał jej wsiąść do pojazdu i spieszył z nią do Wilna.

Przybyli dość wcześnie do miasta. Tłumy ludu, jak zwykle, wyszły za bramę na spotkanie starca; smutne twarze, zwrócone ku niemu, dawały poznać, że w nim jedyną pokładają nadzieję. Lezdejko zajechawszy podług zwyczaju do mieszkań świątyni, odesłał córkę na zamek pod opiekę Akseny, sam zaś, zostawszy pośród kapłanów, starał się naprzód wywiedzieć dokładnie o okolicznościach miejscowych. Już nikomu tajno nie było, że Jagiełło z chęcią, nawet z radością przyjmował polską koronę. Całe miasto smutek napełniał, na zamkach tylko panowała wesołość.

Lezdejko niezwłocznie dał znać Jagielle o przyjeździe swoim, prosząc o posłuch łaskawy, odebrał odpowiedź, że jutro rano będzie mógł się z nim widzieć. Przykre to było odroczenie starcowi, kiedy wspomniał, że dawniej żadnej nie było tak ważnej sprawy, któraby nie ustąpiła przed powitaniem jego.

Pewność, że wszyscy panowie trzymają z posłami i wybór potwierdzają Jagiełły, obudziła w nim myśl, iż starania o tron polski zdawna już są ułożone i że przybycie posłów jest skutkiem wcześniejszych księcia zabiegów. Wieść nakoniec, że poślubienie sławnej z gorliwości wierze chrześcijańskiej księżniczki jest nieoddzielnym warunkiem od wyboru króla, cios ostatni starcowi zadała. Odtąd nie wątpił więcej, że Jagiełło postanowił wiarę ojców opuścić. Każde doniesienie, ledwie nie każde słowo, zmniejszało jego nadzieję zatrzymania go w kraju. Czuł, że widzenie się z nim coraz trudniejszem mu się staje, przywykły jednak prawdę mówić panu, chociaż przeciwnością dręczony, postanowił śmiało zdanie swoje otworzyć i poleciwszy się bogom, czekał spokojnie chwili wezwania.

Mało wprawdzie komu były znane warunki, pod któremi Jagiełło przyjmował koronę, to jest przyłączenie Litwy do Polski i zaprowadzenie w niej chrześcijańskiej wiary; obietnice te, z wielu innemi tajnemi objęte były układy; ale nikt już nie wątpił, że Jagiełło otwarcie sprzyjał chrześciaństwu; dowodem tej prawdy był łatwiejszy od niejakiego czasu przystęp do zamku Ojcom Franciszkanom, nadane im pewne dochody, zrównanie chrześcian osiadłych w Wilnie z innymi mieszczanami, a nadewszystko ciągłe Heleny z ojcem mieszkanie w przybytkach książęcych i śmiałe jej wdawanie się w rządy.

Wszystkie te okoliczności, na które lud z niechęcią poglądał, żywą żądzą przejmowały Jagiełłę jak najprędszego wyjazdu do Polski, gdzie go z drugiej strony powaby korony, wdzięki księżniczki i pragnienie nazwiska chrześcijanina potężnie wzywały. Posłowie też widząc, jak niemiłem okiem lud na nich pogląda, radziby byli jak najprędzej z obranym panem pospieszyć do ojczyzny, zatem Jagielle potrzebę pośpiechu przedstawiając, naglili na ostateczną jego z Lezdejką rozmowę Posłał tedy książę z zaproszeniem starca, a przywitawszy go mile, obok siebie posadził.

— Już musisz wiedzieć, mój ojcze! — rzekł do niego uprzejmie — że mnie królem polskim obrano. — Nie zasięgnąłem wcześniej twej rady, bo byłem pewny, że zdanie twoje, jak zawsze, tak i teraz z mojem się zgodzi; czy może bowiem dla naszej Litwy większa być chwała, jak kiedy z jej książąt potężne narody królów wybierają? Bądź pewny, potrafię użyć wyniesienia mego na jej uszczęśliwienie; idzie mi tylko o to, żeby przez czas mojej nieobecności, która długą być nie może, lud mój w bezpiecznym pozostał ręku. Witołd mógłby mię najlepiej zastąpić, ale jego imię potrzebne mi między Polakami; innych książąt bytności w Krakowie godność moja wymaga, umyśliłem zatem, zabrawszy braci i stryja do Polski, znanego mi dobrze z dzielności i wiary Hamilona przełożyć nad Litwą i straż mu zamków powierzyć. Cóż mi na to, mój ojcze powiecie?

— Że cię, książę, Polacy na tron wzywają — rzekł starzec — nic w tem dziwnego nie widzę; lecz, żeby to wyniesienie miało uszczęśliwić Litwę, tego wcale nie pojmuję.

— Nie przeczę twym uwagom — odpowiedział książe — bom się jeszcze nigdy na nich nie zawiódł; owszem, kiedy patrząc na te dumne posły, jak są we wszystkiem wyżsi odemnie, kiedy się dowiaduję o ich prawach, rządzie i stosunkach z obcemi mocarstwy, włosy mi na głowie powstają i sam siebie pytam, dlaczego, pominąwszy innych, mnie swoim królem mieć chcieli? Myślę zatem, że albo muszę mieć w sobie godne tronu własności, albo ten naród nie jest do rządzenia tak trudny, jak się wydaje; zresztą, kiedy nie ja jego, lecz on mnie szuka, wolno mi spodziewać się, że godnie powołaniu memu odpowiem i równie Polską, jak Litwą szczęśliwie rządzić potrafię.

— Czyliś ty, książę, szukał korony czy korona ciebie — odpowiedział starzec — jest to jeszcze zagadką; lecz skoro ją chętnie przyjmujesz, mniejsza już o to, jakim się to stało sposobem. Twoi krewni, wyprawiając cię do Polski, unoszą się nad twoim wyborem i wszelką ci pomyślność rokują, czy myślisz, że szczera życzliwość kieruje ich radą? Cóż im z tego, że koroną przyozdobisz swe skronie? to ich dumie nie uczyni zadość; lecz, że poszedłszy daleko panować, Litwę losom niepewnym zostawisz, to ich ożywia nadzieją i to cię zgubi niechybnie. Albož niedość jeszcze poznałeś, jak mało swoim zaufać można? Nie widziszże, jakiemi sąsiady otoczony jesteś? Krzyżacy cię mają na oku, każdy twój krok pod ściśłe biorą rachuby. Tymczasem ty, zasiadłszy tron polski, nie spodziewaj się być na nim Chrobrym albo Kazimierzem. Jadwiga, bóstwo Polaków, będzie panować, tobie się tylko imię zostanie, lecz i tego ci pozazdroszczą chciwi twej zguby ci wszyscy, którym zastąpiłeś drogę. Postrzeż się więc, Jagiełło, zrzuć się z nierozważnie danego słowa i pogódź się z Litwą. Tu jesteś panem dziedzicznym, głowy i majątki twoich poddanych są twemi; tu, choćbyć był najgorszym, złym być nie możesz, bo krew twoja nigdy nie przestanie być drogą Litwinom. Na tronie obcym, cóż cię utrzymać zdoła? wszystko owszem gromadzić się będzie na twą zgubę. Chceszli się żenić, czemu się nie żenisz w domu? Mijam moje nadzieje najdroższe i chętnie ci przebaczam ich zawiedzenie; lecz pocóż szukać żony w Polsce, kiedy najpiękniejsza i najbogatsza z księżniczek północy chętnie odda ci rękę i nie odmówi wiary twym bogom? po co serce i rękę innemu należne zabierać, dlatego tylko, że cząstka może narodu twój wybór popiera? Książe! Niebo karze niepomiarkowane żądze! porzuć próżne marzenia i wierz mi, że jedną głową trudno dźwigać dwie korony.

— Dałem słowo. — Muszę go dotrzymać. Muszę się raz zabezpieczyć przeciw Krzyżakom. Znać, że taka wola była bogów? — rzekł rozstrojony książę.

Na wspomnienie bogów gorzki uśmiech poruszył usta Lezdejki, a oczy jego z niedowierzaniem zatrzymały się nad obliczem księcia, jakby z niego chciały prawdę wyczytać.

— Ponieważ — rzekł — wolę bogów bierzesz za powód opuszczenia narodu, który ci tyle dał przywiązania dowodów, należy mi z innej strony rzecz zważyć; miarkując wszelkie stosunki i obowiązki, w które, książę, wchodzisz, nie trudno jest przewidzieć, że już niedługo będziesz służył bogom twych ojców.

— Starać się będę — przerwał książe — aby nigdy z tego powodu między mną a moim narodem do nieporozumień nie przyszło.

— Próżno chcesz, książę, ukrywać się, czynności twoje codzień cię jawniej wydają. Wiem ja, że ani Jadwiga nie chciałaby ślubować obcej wiary mężowi, ani Polacy tak nierozsądni byliby, iżby go królem obrali. Wiara u nich jest drogą, musiałeś tedy wejść z nimi koniecznie w porozumienia.

— I cóżby w tem tak złego było? — rzekł oburzony Jagiełło. — Mój ojcze! za daleko posuwacie wasze badania, nie jesteśmyż panem naszej woli książęcej?

— Mówmy, książę, bez uniesienia — odpowiedział starzec. — Przyrzecz mi przynajmniej, że ludowi twemu zostawisz wolność sumienia!

— Mój przyjacielu! wiesz dobrze, iż nie zwykłem tego obiecywać, co się bez mego dołożenia stanie.

— Teraz słuchaj mię, książę. — Lubo jestem naczelnikiem wiary, która przez tyle wieków uszczęśliwiała twój naród, nie jestem jednak tak uprzedzony, żebym chrześcijaństwa potępiał prawidła. Ale też wiem, że czy to głos dzwonu, czy trąby, zbierają pobożnych do świątyń, zawsze człowiek tak się modlić lubi, jak się jego ojcowie modlili. Wierz mi, Jagiełło, lud cię z serca kocha, ręce do mnie ze łzami wyciągnął, prosząc, abym ci wybił z głowy tę nieszczęsną koronę; jednak bóstwa swoje wyżej nad wszystko przenosi.

— A cóżbyś na to powiedział, mój ojcze, gdybym ja też potrafił przywieść Polaków do uznania prawideł naszej religii?

— Nie życzę ci z tem się odzywać, jeżeli nie chcesz być przez nich wzgardzonym; myśl o tem, żebyś ją mógł w Litwie utrzymać. Poznasz po czasie, w jak ciężkie zaprzągłeś się jarzmo; sejm ci będzie przepisywał prawa, cesarze będą nad tobą przewodzić i ci sami Krzyżacy, przeciw którym spodziewasz się umocnić, kto wie, czy pod hasłem jedności wiary nie łatwiej wcisną się w twoje granice.

— Radbym, mój przyjacielu — rzekł książę — abyś mógł ze mną jechać do Polski; wtenczas poznałbyś, jak są mylne wszystkie twoje obawy!

— Zapewne! gdyby mój wiek i zdrowie były po temu, chętniebym się podjął podróży i umiałbym godnie bronić sprawy mej wiary; lecz, gdy to być nie może, są inni kapłani, którzyby mię z równym zastąpili skutkiem.

— Któż taki naprzykład? — zapytał Jagiełło.

— Każdyby życiem jej bronił! Między innymi znam jednego, który ze wszech miar godnym byłby tak znakomitych poruczeń. Trojdan łączy w sobie wszystkie własności do towarzyszenia ci w Polsce.

— Trojdan, mówisz? — powtórzył uradowany książę. — Tak jest, Trojdan! znam go dobrze, zacny i gorliwy młodzieniec. — Zgadzam się na ten wybór zupełnie, owszem, chcę koniecznie, żeby Trojdan, nie inny, był świadkiem moich w Polsce czynności; chciejże mu to wcześnie, mój ojcze, powiedzieć, bo pojutrze wyjeżdżam.

— Więc cię pojutrze tracimy! — rzekł z żalem starzec. — I nicże już cię zatrzymać nie zdoła?

— Powiedziałem, żem dał słowo. — Albożbyś na to pozwolił, aby nas świat lekkomyślnym okrzyknął?

— Nie, książę! tego nie żądam; twoja chwała i szczęście zawsze mi będą drogiemi; lecz odłóż swój wyjazd do lata, może czas zdrowszej ci rady dostarczy.

— To być nie może! posłowie nalegają, stan Polski wymaga jak najprędszego mego przybycia.

— Jedźże tedy, kiedy ci jechać koniecznie potrzeba — rzekł starzec, powstając z powagą. — Niech cię bogowie szczęśliwie prowadzą i szczęśliwie nam wrócą! Ja ci tyle błogosławię, ile jeszcze wiernym im jesteś.

— Więc będę niezawodnie szczęśliwym! — rzekł wzruszony książę. — Tak jest, będę szczęśliwym! a w jakimkolwiek mnie stanie opatrzność umieści, bądź pewny, mój ojcze, że ani odległość miejsca, ani korona, żadne powodzenia nie zmienią serca mojego dla ciebie, bo nosić imię syna twojego będzie zawsze najpierwszym i najmilszym moim zaszczytem.

Tak żegnając się z Lezdejką, nie przestawał go Jagiełło zapewniać, że wkrótce słuszność mu odda. Ściskał starca, przepraszał i tak się uczuł wzruszonym, iż nie mógł od łez się wstrzymać. Prosił go jednak, żeby obecnością swoją raczył zaszczycić jutrzejsze zgromadzenie na zamku i dał się poznać posłom polskim, którzy niezmiernie pragną tego zaszczytu. Lezdejko wszystko mu ze smutkiem przyrzekał i pełen goryczy, pożegnawszy księcia, wracał do siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

20.

Po śmierci nieodżałowanej Jadwigi, chciał Jagiełło wracać na Litwę, gdzie Krzyżacy podniecali ciągle kłótnie między jego braćmi, ale Polacy zatrzymali go, aby im i nadal królował.

Chytre postępy krzyżackie dopiekły do żywego Jagielle i przebrały jego cierpliwość. Ściągnął więc ogromne wojsko i udał się ku Prusom, aby raz na zawsze przytrzeć rogów niespokojnym Krzyżakom. Z Polakami połączyła się Litwa i Ruś, jakoteż i Tatarowie, a nawet hufiec Czechów przyszedł nam na pomoc.

Król wszedłszy na nieprzyjacielską ziemię, stanął obozem pod Grunwaldem, a wziąwszy chorągiew królewską w rękę, na której był orzeł biały w koronie, zaczął głośno modlić się do Boga, prosząc, aby w tej bitwie raczył ukazać sprawiedliwość swoją.

Zapłakało całe wojsko i zaczęło śpiewać pieśń bojową: »Boga Rodzica Dziewica«.

Król, pomodliwszy się, wsiadł na cisawego konia i objeżdżał wojsko, upominając, aby się mężnie potykało. Wtenczas to przyjechało od mistrza krzyżackiego dwóch posłów, którzy, przyszedłszy przed króla, mówili:

— Sławny królu! Mistrz pruski, Ulryk, przysyła ci dwa miecze, tobie jeden, a Witoldowi drugi, abyście mieli się czem bronić!

Na to odrzekł król z pokorą:

— Przyjmujemy je, może przydadzą się na was.

Ukarał też srogo Bóg tę pychę krzyżacką, bo jak wiadomo w bitwie, która się zaraz potem zaczęła, zostali tak okropnie pobici, jak nigdy jeszcze nikt dotąd. Na placu boju poległo wtedy 40 tysięcy najlepszego wojska krzyżackiego, 51 chorągwi dostało się w ręce Polaków. W bitwie tej poległ także sam mistrz Krzyżacki Ulryk Jungingen.

Bitwa pod Grunwaldem była wielką, w której los całego wschodu Europy rozstrzygnięty został, a Zakon krzyżacki, złamany tą klęską, już się więcej podźwignąć nie mógł.



Krzyżacy ofiarują miecze Jagielle.

Hołd Władysławowi Jagielle.

(W 500-tną rocznicę bitwy pod Grunwaldem).

Chwała Ci, Królu, wielki Władysławie!
Coś pod Grunwaldem wiekopomne dzieło
Zostawił, tonąc w szczerozłotej sławie...
Dziś od tej chwili pięćset lat minęło,
Kiedy szedł z Tobą w zapasy wróg dziki,
Zakuty w pancerz, w przyłbice blaszane,
Zbrojny w topory i mordercze piki...
Gdy Twoi ledwo w pancerze skórzane
Byli przybrani, jako pokutniki...
Lecz oni, jako tygrysy ranione,
W mur ten runęli, stawiony ze stali,
Siekąc i kłując w tą i ową stronę...
Tak się zdawało, że się świat zawali...
Ale przewagę nad nimi Krzyżacy
Po krótkiej walce rozwścieklenі wzięli,
Ale w tej chwili, jako grom Polacy
Biednym Litwinom na odsiecz stanęli...
Wszczęła się walka, jakiej ludzkie oko
Odkąd świat światem jeszcze nie widziało,
Pierzchli Krzyżacy oblani posoką,
Unosząc ledwie pobliżnione ciało!...
Gdyś Ty się, Królu, okrył wieczną sławą,
Po wieczne wieki Twe Imię zasłynie...
Brzegi Grunwaldu zlałeś rzeką krwawą,
Która dotychczas jeszcze po nim płynie...
A więc Ci chwałę niesie Polska cała
I laurem świeżym zdobi Twoje skronie
I śpiewa Tobie wielkim hymnem: „Chwała!"
Który Ci złotem blaskiem Jutrzni płonie...
Daj Boże, aby znów drugi Jagiełło
Błysnął nad Polską, jako Ty, nasz Królu,
I by to wielkie znów rozpoczął dzieło
I raj zbudował z tej krainy bólu;
Z tej biednej Polski pokruszył kajdany,
By taką była, jak była za Piasta
By wolne były znowu wioski, miasta
I by lud powstał wolny, nie poddany...

Robert Rydz.

Zbudź się Jadwigo!

Zbudź się Jadwigo Królowo!..
Dla Narodu zbudź się Twego,
Ożyj, zajaśnij na nowo
Gwiazdo Narodu polskiego.

Zstąp ku nam z wyżyn niebieskich
Ku kmiotkom, ku chłopce,
Do komnat wróć się królewskich,
Do alkowy w Kurzej Stopce.

Spojrz ku Polsce nieszczęśliwej!..
Patrz — trzy miecze tkwią w jej łonie,
Pierś jej szarpie wróg krwi chciwy,
Kajdanami skuł jej dłonie.

O Jadwigo, Święta Boża!
Powróć do nas z lepszych światów,
Dźwignij Polskę z tortur łoża,
Wyswobodź ją z rąk jej katów!

Wskrześ w nas ludzi silnej wiary,
Mężów czynu, cnoty wielkiej,
Chętnych wszelkie znieść ofiary
I krew przelać do kropelki.

Bohaterów nam potrzeba
Do zapasów z ludźmi złemi;
O nich to — błagamy Nieba,
Ty nam wzbudź ich z polskiej ziemi.

Lud znękany natchnij wiarą,
Serca wątłe skrzep nadzieją:
Że nad Twą stolicą starą
Lepsze czasy zajaśnieją.

Pomóż nam iść Twoim śladem,
Naucz: zaprzeć samych siebie,
Tyś żywym tych cnót przykładem,
Ty, Patronko nasza w Niebie!

Ty, coś ofiarę z kochania,
Z czystej złożyła miłości —
Dla dwóch ludów pobratania,
Dla ich szczęścia i przyszłości,

Ty — przykładzie poświęcenia,
Polskiej klejnocie Korony,
Dla serc naszych pokrzepienia
Zstąp z Niebios, wróć na nasze strony!

Na całym Polski obszarze
Głos jeden ku Tobie płynie:
Na kościelne znijdź ołtarze
I z nich polskiej świeć krainie!

Już głos ludy Twe podnoszą:
Że Jagiełły cząc małżonkę,
Ojca Świętego uproszą —
By nam Cię dał za Patronkę.

Oto Stolicę Piotrową,
Poruszym naszemi łzami,
Tylko Ty, nasza Królowo
Zbudź się i pozostań z nami!

Jacek Obrochta.

Nasz podarunek grunwaldzki.

Jest piękny zwyczaj, że w niektóre dnie odznaczające się czemś niezwykłem, ludzie dla ich upamiętnienia obdarzają się podarunkami. Daje się je na imieniny, czasem na urodziny, w wigilię Bożego Narodzenia, z dalekiej podróży przywozi się gościńce na znak radości, że się jest znowu pośród swoich.

Dzisiaj w dniu tak wielkiego święta narodowego, jakiem jest półtysiączna rocznica wielkiego zwycięztwa polskiego nad przeniewierczym zakonem krzyżackim, pragniemy naszym Czytelnikom i Przyjaciołom ofiarować coś, co wspaniałą rocznicę upamiętni a z drugiej strony okaże, jak drodzy są dla Redakcyi ci wszyscy, dla których ona pracuje, rolnicza brać polska.

Oprócz znacznie powiększonego numeru, obejmującego o ośm stronnic druku i o kilkanaście obrazków więcej niż zwykle, dajemy nadto małą książeczkę dwuarkuszową p. t. **Poczet królów polskich**. Czytelnik znajdzie tam wizerunki wszystkich naszych monarchów polskich, od pierwszego do ostatniego, a pod każdym obrazkiem krótki życiorys, z najważniejszymi wypadkami każdego króla.

Oprócz tego w książeczce znajduje się tak zwany **Kalendarzyk historyczny**. Na każdy dzień roku jest tam przypomniane, co się dnia tego, przed wielu lat dziesiątkami i setkami stało donioślejszego w historyi naszej ojczyzny. Znać dzieje swego narodu, jest obowiązkiem każdego prawego człowieka, każdy też uczy się tego w szkole, a jako dorosły, gdy się trzyma dobrej gazety, znajdzie w niej zawsze dużo rzeczy historycznych. Czytelnicy „Roli“ znają zatem historyę polską, tem bardziej, że przypominamy ją co tydzień przez cały rok, drukując tak bardzo ulubioną naszym czytelnikom „Historyę polską w obrazkach“.

Nasz podarunek grunwaldzki „Poczet królów polskich“ z „Kalendarzykiem historycznym“, ma na celu przypomnieć każdemu to, co już wie. Gdyby co zapomniał, będzie mógł w każdej chwili zajrzeć do książeczki i odświeżyć swoje wiadomości. Sądzimy zatem, że czytelnicy nie zmarnują tego podarunku, przechowają go starannie i dawać będą do czytania innym, zwłaszcza dzieciom i młodzieży.

Książeczkę tę wydał swoim nakładem zmarły niedawno zacny obywatel krakowski, ś. p. Stanisław **Cyrankiewicz**, a wydał ją dla upamiętnienia rocznicy grunwaldzkiej i dla podniesienia oświaty ludu polskiego. Bóg powołał go przedwcześnie do swej chwały i nie dozwolił doczekać uroczystego dnia dzisiejszego. Redakcya „Roli“ zatem. podjęła tę pracę na siebie i w jego zastępstwie rozszerza ładną książeczkę pomiędzy lud czytający.

Oby ta książeczka powitana jako miły gość pod strzechami, czytana tam była zawsze ku dobru ojczyzny i ludu polskiego.

APOSTOLSTWO KRZYŻAKÓW NA LITWIE.



Piękna to była myśl założenia zakonu, któryby z miłością na ustach i słowami prawdziwej wiary szedł wśród pogan i zjednywał ich dla nauki Chrystusa. Ale i najszlachetniejsza myśl oddana ludziom złym i przewrotnym nie przyniesie błogich owoców, bo ją wypaczą i na złe jej użyją.

Tak właśnie postąpili Krzyżacy! — Zamiast nieść miłość — nieśli nienawiść; zamiast pouczać — mordowali i rabowali; zamiast rozniecać światło wiary — rozpalali pożogi i zniszczenia. Ci rycerze krzyża mordowali bezbronnych starców, palili wsie i miasta, zabijali maleńkie dzieci, a dorodne niewiasty uprowadzali w niewolę na hańbę i sromotę.

Długo spływała krwią Litwa, długo płonęły jej wsi i miasta, a razem z Litwą znosiły to samo pograniczne osady polskie. Ale przyszedł nareszcie kres. Połączone narody Polski i Litwy ujęły za broń i podążyły na pola Grunwaldu. Tam u stóp wielkiego Jagiełły padła buta i tyrania krzyżacka, tam ciemiężyciel zasłał własnemi ciałami bujne niwy.

Potęga krzyżacka znikła na długo, ale nie nazawsze. Bo oto obecnie potomkowie ich, Prusacy, zwący się państwem »Bojaźni Bożej«, prowadzą dalej dzieło zaczęte przez swych przodków. Wprawdzie nie mordują nas mieczem, ale paragrafami i ustawami. Są obecnie na szczycie swej potęgi, jak byli ich poprzednicy, Krzyżacy, przed Grunwaldem, ale i oni runą, bo co ma upaść, musi się najpierw wznieść na szczyt powodzenia. Nadejdzie jeszcze chwila, że wrogowie nasi będą żebrać u nas łaski i zmiłowania, bo Bóg na ciemiężycieli sprawiedliwą karę ześle.

Jak powstało państwo pruskie.

W dawnych czasach, w kraju, leżącym po prawej stronie Wisły aż do Niemna, mieszkali Prusacy, naród pokrewny Litwinom. Byli oni poganami, a gdy św. Wojciech chciał ich nawrócić na wiarę chrześcijańską zamordowali go okrutnie. Prusacy byli jednej krwi z Polakami, ale mimo to często napadali na Polskę. Zwłaszcza cierpiało od najazdów Prusaków sąsiadujące z nimi Księstwo mazowieckie. Pierwszy książe mazowiecki Konrad, brat Leszka Białego, chcąc zabezpieczyć posiadłości swoje od napaści złych sąsiadów, powołał z Niemiec rycerzy, zwanych Krzyżakami, i dał im w posiadanie ziemię chełmińską, oraz ziemie, które na Prusakach zdobędą. Stało się to w 1226 roku.

Krzyżacy stanowili zakon rycerski, który miał za zadanie obronę grobu Chrystusa Pana w Jerozolimie. Krzyżacy byli to zarazem zakonnicy i żołnierze, a nazwa ich poszła od krzyżów wyszywanych na płaszczach. Osiedliwszy się w ziemi chełmińskiej, przez pięćdziesiąt lat walczyli z Prusakami, aż cały kraj zajęli pod swoje panowanie. Do zdobytego kraju sprowadzili osadników z Niemiec.

Krzyżacy, jako lud chciwy, nie poprzestali na zawojowaniu Prus. Krwiożercze swe pazury wyciągli ku Polsce i zdradą zagarnęli Gdańsk i całe Pomorze wschodnie.

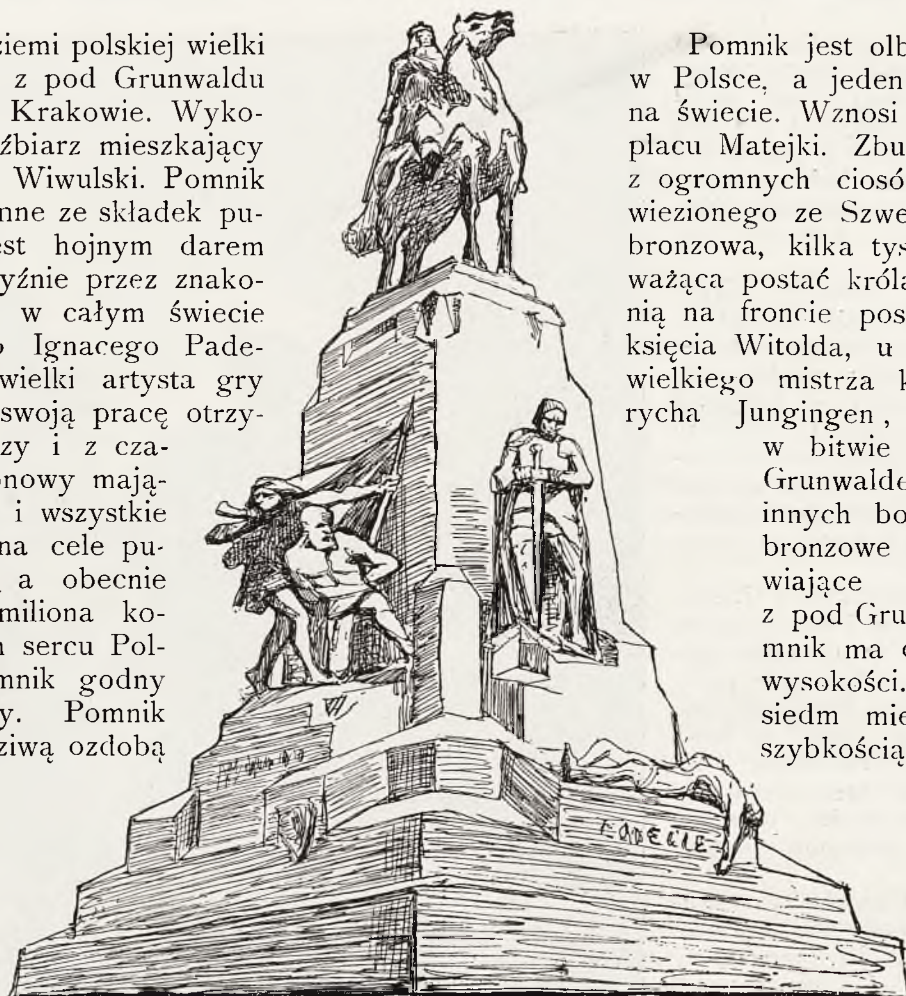
Król polski, Władysław Łokietek, oburzony na zdrajców rozpoczął z nimi wojnę, ale choć pobił ich na głowę pod Płowcami (w 1331 r.) nie mógł odebrać im ziem zabranych. Używali oni bowiem różnych cygaństw, odwoływali się do Papieża i cesarza niemieckiego, łamali przyrzeczenia, nie spełniali zobowiązań, byle tego nie oddać, co ukradli. Łączyli się z wrogami Polski, aby jej tylko szkodzić. Nie było podłości, którejby się Krzyżacy nie dopuścili względem Polski.

Zarówno, jak Polskę, dręczyli również Krzyżacy i Litwę. Początkowo udawali przed światem, że chcą ją nawrócić na wiarę chrześcijańską, ale chociaż i tam została przez Władysława Jagiełłę zaprowadzona wiara chrześcijańska, nie zaprzestali swych napadów. Aby temu kres położyń wyruszył przeciw nim Władysław Jagiełło z bratem swoim stryjecznym Witołdem i w walnej bitwie pod Grunwaldem pobili na głowę zastępy Krzyżaków. W tej bitwie, stoczonej 15 lipca 1410 r. złamana została potęga Zakonu a kilkadziesiąt tysięcy trupów krzyżackich zakryło pole walki.

Ale, niestety, Polacy, powodowani szlachetnością, nie skorzystali z tego zwycięstwa należycie i nie

POMNIK WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY W KRAKOWIE.

Pierwszy na ziemi polskiej wielki pomnik zwycięzcy z pod Grunwaldu odsłonięto dziś w Krakowie. Wykonał go młody rzeźbiarz mieszkający w Paryżu, Antoni Wiwulski. Pomnik nie powstał, jak inne ze składek publicznych, ale jest hojnym darem ofiarowanym Ojczyźnie przez znakomitego, sławnego w całym świecie muzyka polskiego Ignacego Paderewskiego. Jako wielki artysta gry na fortepianie, za swoją pracę otrzymał wiele pieniędzy i z czasem posiadł milionowy majątek. Niema dzieci i wszystkie dochody zużywa na cele publiczne w kraju, a obecnie przeznaczył pół miliona koron, aby w samem sercu Polski wzniósł się pomnik godny wielkiego Jagiełły. Pomnik ten będzie prawdziwą ozdobą starego, polskiego grodu, mieszkańcy Krakowa i całej Polski będą zawsze wdzięcznie wspominali nazwisko ofiarodawcy.



Pomnik jest olbrzymi, nawiększy w Polsce, a jeden z największych na świecie. Wznosi się on w środku placu Matejki. Zbudowany jest cały z ogromnych ciosów granitu, przywiezionego ze Szwecyi. Na szczycie bronzowa, kilka tysięcy kilogramów ważąca postać króla na koniu. Pod nią na froncie postać zamyślonego księcia Witolda, u jego stóp zwłoki wielkiego mistrza krzyżackiego, Ulrycha Jungingen, który poległ w bitwie na polach pod Grunwaldem. Po trzech innych bokach stoją także bronzowe figury przedstawiające rycerskie walki z pod Grunwaldu. Cały pomnik ma około trzy piętra wysokości. Budowano przez siedm miesięcy i z wielką szybkością, tak aby jeszcze przed uroczystością był w zupełności ukończony i aby dnia 15 lipca można go było narodowi odsłonić.

---

zmietli z powierzchni ziemi wiarłomnego Zakonu, wskutek czego musieli później oganiać się od nich.

Jednak w końcu miarka się przebrała. Na prośby poddanych krzyżackich, wydał wojnę Zakonowi król polski Kazimierz Jagiellończyk, która ciągnęła się 13 lat. Polacy zajęli stolicę krzyżacką Malborg i znaczną część ich posiadłości. Za wstawieniem się papieża zgodził się król na zawarcie pokoju w Toruniu 1466 r., wskutek którego musieli Krzyżacy oddać Polsce Pomorze, ziemię chełmińską i michałowską, oraz część Prus z Malborgiem i Warmię. Wielki mistrz czyli naczelnik Krzyżaków zobowiązał się składać hołd królowi polskiemu i słuchać go we wszystkich sprawach, jako swego zwierzchnika.

Za Zygmunta I został Wielkim mistrzem siostrzeniec jego Albert z rodu margrabiów brandenburskich. Ci margrabiowie osiedlili się w ziemi polskiej, w mieście, które się nazywało Braniborem, a które oni z niemiecka przezwali Brandenburgiem, później zaś przenieśli stolicę swego państwa do Berlina, założonego na gruntach wsi Kolno. W 15 wieku jeszcze w Brandenburgii była ludność polska bardzo liczna i nawet na dworze margrabiów po polsku mówiono. Margrabiowie Brandenburgii do spółki z Krzyżakami na Polskę napadali, a państwo ich rosło na zdradzie.

Z takiego rodu pochodził Albert, który żył, gdy w Niemczech poczęła się szerzyć wiara luterska. Albert przyjął tę wiarę wraz z innymi Krzyżakami, złamał śluby zakonne, ożenił się, a uczynił to dlatego, aby z posiadłości krzyżackich uczynić księstwo dziedziczne. Słaby i dobroduszny król Zygmunt zgodził się na to, a Albert za to przybył do Krakowa 1525 r. i złożył hołd królowi na rynku.

Poddanych swoich zmusił Albert do przyjęcia wiary luterskiej, a mimo przysiąg składanych na rynku w Krakowie, zmawiał się ciągle z nieprzyjaciółmi Polski na jej szkodę.

Srogo go też Bóg ukarał, gdyż już wnuk jego umarł bezpotomnie w obłąkaniu.

Stosownie do ugody kraj ten powinien był wrócić do Polski, ale Zygmunt III pozwolił krewnym ostatniego księcia, margrabiom bradenburskim, oddziedziczyć jego posiadłości pod tym warunkiem, że będą składali hołd Polsce. Brandenburgia połączona z Prusami stała się wkrótce niebezpieczną dla Polski.

Gdy za panowania Jana Kazimierza napadli na Polskę Moskale, Szwedzi, Kozacy i inni, gdy kraj cały był niszczony ogniem i mieczem, skorzystał z tego elektor brandenburski Fryderyk Wilhelm, zwany Wielkim, zamiast bronić Polski, sprzymierzył się z jej wrogami. Upokorzył się wprawdzie później, ale od składania hołdu został uwolniony.

Następcy Alberta i Fryderyka Wilhelma, najprzód elektorowie brandenburscy, a później królowie pruscy szli w ich ślady i w ślady Krzyżaków. Najchytrzejszy z nich Fryderyk II, zwany Wielkim, podmówił carycę moskiewską, Katarzynę II, do rozbioru Polski w 1772 r. Jego następcy obłowili się przy podziale Polski.

Potomkowie hołdowników, którzy z pokorą całowali rękę króla polskiego, panują dziś nad narodem naszym i odmawiają nam prawa do życia.

Ale przyjdzie dzień sądu i sprawiedliwości boskiej — padnie w proch potęga pruska, a Polska zajaśnieje znów potęgą i sławą. Musimy tylko pracować na to codziennem, wytrwałem w cnocie życiem.

WYDALONY Z PRUS.

OBRAZ WOJCIECHA KOSSAKA Z ALBUMU „TYGODNIKA ILUSTROWANEGO".



Od lat kilkunastu osiadł w Poznańskiem pobożny, pracowity Polak z Galicyi. — Orał, siał i chwalił Pana Boga, jak mógł i umiał. Gdy jednego dnia wiosną, wyjechał wołkami na własny zagon i orał czarną ziemię, przyjechał na czarnym koniu żandarm pruski i oznajmił mu, że z nakazu władzy wyższej musi bezzwłocznie opuścić tę ziemię kochaną, albowiem jako przybysz z Galicyi, ma wzbroniony pobyt na ziemi pruskiej. Prosił skazaniec i błagał, ale daremnie! Musiał sprzedać posiadłość swoją, aby nie zagrażał dalej swą osobą państwu pruskiemu, które Boga się nie boi a kmiotka polskiego się lęka... Sprzedał ziemię i wyjechał z goryczą w sercu i łzą rzewliwą na biednym oku.

TRZY ŁZY.

I.

Hej, mocny Boże!... Szumią chorągwie, powiewają proporce wzniesione, a nad nimi wszystkimi góruje na czerwonem polu Matka Boska, Królowa najmożniejsza, Lilia najcudniejsza... Opiekunka najbiedniejszych.

I widnieje Orzeł biały! Rozwinął on skrzydła swoje, chciałby gdzieś lecieć, ogarnąć miłością i opieką swoją świat cały. A przy nim Pogoń litewska.

Pod osłoną tych chorągwi stoi wojsko niewielkie, ale bitne, dzielne, rycerskie..., ale noszące w swoich piersiach ideały, których odbicia widnieją na proporcach, pobożność, miłość Ojczyzny, braterstwo ludów. A tam zdala stoi król... król, który ze łzami prosił Boga, aby krwi bliźniej nie przelewano. Ale gdy los inaczej zrządził, on uszykował wojsko swoje, pokrzepił ducha modlitwą i dał hasło do walki.

Szum, hałas, szczęk broni... Już wojska starły się, już żelazne pancerze i napierśniki uderzyły o siebie i chrzęst wydały. Łamią się proporce, mieszają się szyki... Urywane słowa komendy mieszają się z złowrogiem rżeniem koni, z okrzykami boleści... radości... zwycięztwa i niewoli.

Krew już toczy się strugami na pobojowisku... morze krwi!... Znowu brzmią okrzyki — znowu słychać jęki. Wreszcie wielki głos »Victoria« wykrzyknął — Victoria! Zwycięztwo! Zwycięztwo nad zakonem mocnym! Zwycięztwo nad szatanami, noszącymi suknie sług bożych i boską opieką się zasłaniających! Zwycięztwo nad tymi, co przeciw Maryi skrycie bluźnili, a przed światem jej sługami się zwali! Zwycięztwo nad tymi, co nie modlitwą, nie pokorą, dobrocią i łagodnością, ale krwią i orężem kraje nawracać chcieli! Zwycięztwo nad tymi, którzy podbijali kraje nie dla chwały Boga, ale dla osobistej potęgi i sławy. Zwycięztwo! a w ślad za tym wyrazem przeszedł cichy pomruk po szeregach rycerstwa polskiego. I już nie radosny, tryumfalny okrzyk, ale straszne, ponure, groźne: »Biada zwyciężonym!« — zabrzmiało i popłynęło hen... aż ku gromadzie jeńców krzyżackich, aż ku stosom trupów komturów i książąt zakonu. A olbrzymia czerń jeńców drżała... i stali tak naprzeciw siebie sędziowie i oskarżeni...

»Biada zwyciężonym!«

A wtem rozszalały chęcią zemsty wzrok rycerstwa polskiego i błagalny wzrok jeńców zakonu przeniósł się na wzgórek, kędy stał król. On, mocarz teraz!

Jedni wołali: — Zemsty za krew przelaną niewinnie, zemsty za krew rycerzy polskich, niewiast i dzieci, za krew, którą Zakon tak hojnie szafował! A drudzy — zbóje, rabuśnicy i mordercy błagali:

— »Litości!«

Ale oczy króla nie patrzyły na nich, lecz tam, gdzie leżał największy wróg jego, mistrz Zakonu, lecz tam, gdzie leżały trupy komturów, książąt, rycerzy i knechtów Zakonu. Tam krew, tam stosy trupów w krwi. Tysiące trupów okupiło owo »Zwycięztwo« Polaków.

I stała się rzecz dziwna i niesłychana! Z oczu króla stoczyła się łza, łza czysta i jak perła spadła na pancerz, którego przed chwilą dotknęła zbrodnicza ręka żołdaka krzyżackiego. A blade usta wyszeptały:

— Przebacz, Panie, tej krwi — jam nie winien — oni są winni! Przebacz!« I dał ręką zdumiałemu rycerstwu znak zaprowadzenia jeńców do więzień i pohamowania swego gniewu.

2.

Na wyniosłym tronie siedzi król. Król mocarz wielki i potężny. A wkoło niego stoi dwór. Moc złota, srebra, purpury. Przed nim klęczy młodzieniec i błagalny wzrok na niego podnosi. Lecz poza prośbą coś się tam kryje, chytrość jakaś i złośliwość. I brzmi »Zygmunt« potężny, a gdy przestał, przywitał łaskawie młodzieńca król wielki — a on go o opiekę, prawo i zwierzchnictwo prosił i za łaskę dziękował. A król go przyhołubił, miłość stryjowską oświadczał, a wkońcu łzy pojawiły się w oczach jego i wyrzekł ze łzami i rozczuleniem wielkiem:

— »Ja, Albrechcie, szczęścia ci życzę!«

A młodzieniec znowu za łzy i dobroć dziękował. Zabrzmiały trąby i dzwonów głos potężny się wznosił, a król wiódł w gościnę na zamek ostatniego mistrza krzyżackiego, a pierwszego księcia pruskiego.

A ów człowiek, co miał na głowie czapkę błazeńską i na stopniach tronu siedział, a nazywał się Stańczyk, rzekł, zobaczywszy łzy w oczach króla:

— »Nad żmiją płacze«.

A otaczających go kilku zaśmiało się i odchodząc, głupim go nazwali. Król ze łzami szczęścia życzył i w opiekę swoją przyjął księcia pruskiego!

3.

Brama szkolna w Jugendsdorfie otwierała się. Jakaś ręka wypchnęła za drzwi młodego chłopca z książkami pod pachą. Dziw, przecie nauka dawno się skończyła, a on dopiero teraz wraca ze szkoły?

Przypatrzmy się, co za bladość w obliczu, jaki ogień ponury w oczach! Idzie prędko, ale przez zaciśnięte zęby wybiegają mu słowa:

— »Ha... my — »dummes, polnisches Vieh!...« głupie, polskie bydło! On śmiał, on śmie mówić, że wszelkie opowiadanie o naszych królach, to bajka; że nasza cudna, polska historya, bajka; że ta ziemia była zawsze niemiecką; że my jesteśmy i będziemy Niemcami! Nie, nigdy! Ja w swoich piersiach ducha polskiego czuję! Ja kocham tę ziemię, tę wioskę naszą, choć ją Jugendsdorfem nazwali i kochać będę na...

Lecz tu syknął, rozerwał wierzchną odzież — na rękach i plecach czerwieniły się nabrzmiałe pręgi. Ból straszny wstrząsnął ciałem dziecka.

— »O mój Boże! a to mi dobił« — jęknął chłopiec, a wraz z tym jękiem stoczyła się łza strasznego bólu z oczu młodego męczennika sprawy polskiej, ofiary cywilizatorów pruskich, godnych następców Krzyżaków.

* * *

U podnóża tronu Władcy świata, Sędziego Najwyższego, zeszły się raz trzy duchy białe. I stanęły przed Wszystkowiedzącym, a pierwszy z nich rzekł:

— Panie, posłałeś mię dawno na ziemię chrobrą i sławną. Kazałeś mi być ptakiem sławy, duchem rycerzów, pieśnią usypiającą pacholęta i modlitwą niewiast. Panie, ja Ci dzisiaj z tej krainy przynoszę mało, ale mi to ciężar ogromny sprawia. Ja Ci przynoszę łzę króla Litwina — barbarzyńcy. Znalazłem ją na polu grunwaldzkiem, gdy się biły dwa wielkie narody«.

Rzekłszy to złożył u stóp Boga kwiat cudownej woni i zapachu, ale tak ciężki, że go trudno było udźwignąć.

A drugi duch rzekł:

— »Panie, ja poszedłem na tę ziemię później, w czasie pokoju z wrogami, lecz w czasie niezgody bratniej. Ja byłem nie jako on na wojnie, ale wśród pokoju pozornego. I radość była między tłumem. A jam myślał, że Cię ucieszę, gdy Ci przyniosę tę łzę czystą, która spadła z oczu króla wielkiego, gdy on był radosny«. I złożył duch u stóp Boga kwiat przecudny.

I przybliżył się duch trzeci, dziwnie smutny, i rzekł:

— »Panie, ja zostałem posłany w dzień mogił i krzyżów. Posłałeś mię na ziemię krwią zbroczoną. Ja zbierałem bóle i radości ludzkie, ale tych Ci nie przynoszę, Panie, ja Ci przyniosłem łzę polskiego pacholęcia, które z bólu, od Niemca zadanego, płakało. Lecz nie zmieniła się ta łza w kwiat przecudny, bo za wiele w niej było bólu i męki. Ja Ci ją przynoszę taką, jaką znalazłem«.

Z temi słowy złożył duch u stóp tronu łzę, jako brylant błyszczącą, spoczywającą na książce »Katechizm polskiego dziecięcia«.

Stwórca patrzał na łzę ostatnią. Dwa duchy przeszłości płakały, a trzeci smętny się spytał:

— »A teraz, Panie, ja proszę i błagam Cię, odpowiedz: Czy już nie dość męki dla tego narodu, który wrogom łzami za krew oddaje? Czy nie dość już mogił i krzyżów na ziemi i w sercach ich staje? Żali nie przyszedł czas?«

A dwa duchy spytały:

— »Żali nie przyszedł już czas?«

I dziw: Oto zdało się, że z chatek wieśniaczych i pałaców magnackich, z kościołów i mogił płynie wielki, żebrzący, pokorny, smętny głos:

— »Panie, żaliż nie przyszedł już czas?«

A Pan rzekł:

— »Umiłowałem ja tę ziemię i ona, jako Job cierpliwy doświadczoną być musi. Lecz jeszcze nie przyszedł czas jej zmartwychwstania. Ona cierpieć musi, we łzach i krwi skąpać się musi, aby powstała tem lepsza, tem czystsza. Wy, wracajcie na tę ziemię i czekajcie, aż przyjdzie czas, w którym jej zupełne oczyszczenie z win i grzechów nastąpi! Wrogom jej wówczas biada!

— Ty — rzekł Pan do łzy króla Władysława — wracaj i krzep w nich wiarę w nowe zwycięztwa na każdem polu, chodź od chatki do chatki, od pałacu do pałacu i powiadaj sercom i duszom, że ich zwycięztwo być musi i że będzie wówczas, gdy stworzą nowy Grunwald, gdy postawią w szeregi serca gorące i dłonie silne.

— Ty — rzekł Pan do łzy króla Zygmunta — idź do nich i wzbudź w ich sercach nadzieję lepszej doli. Powiedz, że ja miłosierny i potężny, że wrogów ich w proch zmienić potrafię. Powiedz, że oni nie zginęli i nie zginą, że ich ziemia zawsze wielką będzie!

— Ty — rzekł Pan do tej, która mu łzę pacholęcia przyniosła — ty masz najcięższe zadanie. Idź do tej krainy i zamień się w miłość. Stawaj nad kolebką dziecięcia i pieśń o miłości Ojczyzny mu nuć. Tchnij tę miłość w piersi pacholąt, niech cierpią i łzy leją. A gdy te łzy przeważą na szali, ja wydam wyrok sprawiedliwy. Ty bądź księgą mądrości dla młodzieńca, bądź wodą w zdroju dla dziewczyny, bądź sercem u męża i niewiasty polskiej, natchnieniem dla starców!«

— »A teraz idźcie — mówił Stwórca dalej i skinął dłonią, a one, wiara, nadzieja i miłość, zeszły na pola i ugory polskie i wstępowały w serca ludzi.

A te łzy, które leżały u stóp Stwórcy, aniołowie zanieśli do skarbca niebieskiego, a najcięższą była książka ze łzą polskiego dziecka.

Szymon Filar.

Tajemnice Morza.

(Opowiadanie profesora francuskiego).

(Ciąg dalszy).

LAS PODMORSKI.

Przybyliśmy nareszcie do krańca tego lasu, niewątpliwie najpiękniejszego w niezmiernej posiadłości kapitana Nemo. Dowódca uważał las za swoją własność. Któżby zresztą mógł mu zaprzeczać prawa do posiadania tych podmorskich obszarów?

Las podmorski tworzyły wielkie rośliny drzewne; gdyśmy się znaleźli pod jego szerokiemi sklepieniami, uderzył mnie naprzód szczególny układ rozgałęzień, którego dotychczas nigdy jeszcze nie widziałem.

Ani jedna trawka wyścielająca dno, ani jedna z gałązek sterczących na drzewkach, nie leżała, nie zginała się, rozciągała się według płaszczyzny poziomej. Wszystkie wystrzeliwały ku powierzchni oceanu. Najcieńsze włókienka sterczały prosto, niby druty żelazne. Rośliny odchylone ręką, powracały natychmiast do pierwotnego położenia.

Wkrótce przywykłem do tego dziwnego układu i do względnej otaczającej nas ciemności. Grunt w lesie zasiany był ostrymi głazami, trudno było omijać.

Około pierwszej kapitan Nemo dał hasło wypoczynku. Co do mnie, byłem z tego bardzo zadowolony. Wyciągnęliśmy się wszyscy w rodzaju altanki z krzaków, których długie i cienkie paski dążyły w górę prosto jak strzały. Ta chwila wytchnienia wydała mi się rozkoszną. Do zupełnego uroku brakło jeszcze tylko rozmowy. Ale niepodobna było ani pytać, ani odpowiadać. Przybliżyłem tylko moją wielką mosiężną głowę do głowy Konsela. Spostrzegłem błyszczące zadowoleniem oczy tego dzielnego chłopca, który na znak radości poruszył się w swej skorupie w najpocieszniejszy sposób.



...potworny pająk morski...

Dziwiło mię to, że po czterogodzinnej przechadzce, nie doświadczyłem bynajmniej gwałtownego głodu. Nie umiem powiedzieć, co mianowicie było przyczyną tego usposobienia żołądka. Ale zato uczułem nieprzezwyciężoną chęć do snu, co się zwykle zdarza wszystkim nurkom. To też wkrótce oczy mi się zamknęły za grubą szybą i wpadłem w głęboką senność, ruchem tylko dotychczas zwalczaną. Kapitan Nemo i dzielny jego towarzysz, dali mi dobry przykład, wyciągnąwszy się także w łonie tego płynnego, przejrzystego kryształu.

Jak długo byłem pogrążony w uśpieniu?... nie mógłbym ściśle oznaczyć — ale kiedym się obudził, zdawało mi się, że słońce nachylało się ku widnokręgowi. Kapitan Nemo już wstał, a ja zacząłem się przeciągać, kiedy niespodziewane zjawisko postawiło mnie na nogi.

O kilka kroków od nas, potworny pająk morski, wysoki na jeden metr, patrzał zezowatemi ślepiami i gotów był rzucić się na mnie. Jakkolwiek mój ubiór nurka był dość gruby, i mógł mię uchronić od ukąszeń tego zwierzęcia, nie mogłem przecież powściągnąć poruszenia zgrozy. Konsel i majtek »Nautilusa« przebudzili się w tej chwili. Kapitan Nemo wskazał swemu towarzyszowi obrzydłego skorupiaka, który został powalony uderzeniem kolby; widziałem jak straszne łapy tego potworu wiły się w ostatnich drganiach.

To spotkanie naprowadziło mnie na myśl, że inne zwierzęta jeszcze straszniejsze, musiały nawiedzać te ciemne gęstwiny — i że mój ubiór nie zawszeby mię zasłonił od ich napaści. Dotychczas o tem nie pomyślałem, postanowiłem zatem mieć się na baczności. Przypuszczałem zresztą, że ten wypoczynek był kresem naszej przechadzki; lecz omyliłem się, gdyż kapitan zamiast powracać na statek, puścił się dalej jeszcze na tę zuchwałą wycieczkę.

Grunt obniżał się ciągle, ale po coraz wyraźniejszej jego pochyłości widocznie zmierzaliśmy do większych głębin. Była prawdopodobnie trzecia godzina, kiedyśmy doszli do wązkiej doliny, wyżłobionej między dwiema wysokiemi opokami i leżącej na głębokości stu pięćdziesięciu metrów. Mówię sto pięćdziesiąt metrów, choć żadnym przyrządem nie mogłem oznaczyć tej wysokości, ale wiedziałem, że nawet w najprzejrzystszych morzach promienie słoneczne dalej przeniknąć nie mogą, a tu właśnie zupełna otaczała nas ciemność. O dziesięć kroków nic niepodobna było dostrzedz. Szedłem po omacku, gdy nagle spostrzegłem żywy blask białego światła. Kapitan Nemo zastosował tu swój przyrząd elektryczny; towarzysz jego naśladował go. Konsel i ja poszliśmy za ich przykładem, a światło czterech latarni rozjaśniło morze w promieniu dwudziestu pięciu metrów.

Kapitan Nemo zapuszczał się coraz dalej w ciemne głębie lasu, którego zarośla rzedniały coraz bardziej. Idąc, myślałem sobie, że światła nasze przywabią niechybnie niektórych mieszkańców tych ciemnych otchłani. Ale jeśli się zbliżali, to zawsze na odległość dla myśliwych niedogodną. Parę razy nawet widziałem, jak kapitan Nemo zatrzymywał się i brał na cel, ale po chwili rozwagi podnosił broń i szedł dalej.

Nareszcie około godziny czwartej skończyła się ta cudowna wycieczka. Ściana wspaniałej opoki stanęła przed nami; było to nagromadzenie olbrzymich

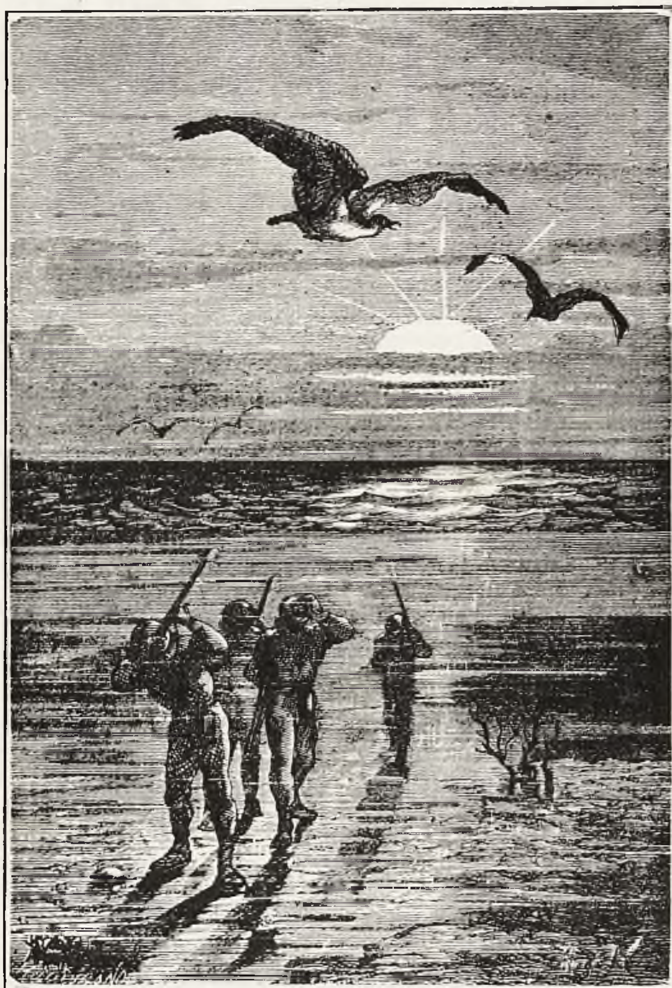
głazów, potworne urwisko granitowe, z ciemnemi pieczarami, ale bez śladu krawędzi, którejby się można było uchwycić.

Dotarliśmy do wybrzeży wyspy Krespo. Ziemia była przed nami.

Kapitan Nemo zatrzymał się nagle. Gwałtem wstrzymał nas w pochodzie i mimo, żem gorąco pragnął przebyć tę ścianę, trzeba było być posłusznym. Tu kończyły się posiadłości kapitana Nemo i granicy ich nie chciał przekroczyć. Z tamtej strony ciągnęła się ta część kuli ziemskiej, po której nigdy już noga jego nie miała stąpać.

Zaczął się odwrót. Kapitan Nemo stanął znów na czele naszej gromadki, i szedł zawsze bez wahania. Zdawało mi się dostrzegać, że inną drogą powracaliśmy do »Nautilusa«. Ta nowa droga bardzo stroma, a zatem niezmiernie przykra, zbliżała nas szybko do powierzchni morza. Na dziesięć metrów głębokości postępowaliśmy wśród mnóstwa małych rybek wszelkiego gatunku, liczniejszych i zwinniejszych niż ptaki w powietrzu; ale nie natrafiliśmy na żadną morską zwierzynę, godną wystrzału. W tej chwili spostrzegłem, jak broń kapitana szybko do ramienia przyłożona, śledziła między krzakami ruchy jakiegoś przedmiotu. Nastąpił wystrzał, posłyszałem lekkie syknięcie, a potem zwierzę jakieś padło rażone strzałem o kilka kroków od nas.

Była to wspaniała wydra morska, jedyny czworonóg wyłącznie morski. Wydra owa, długa na jeden metr i pięćdziesiąt centymetrów, musiała mieć ogromną wartość. Skóra jej barwy brunatno kasztanowatej z wierzchu, a srebrzysta pod spodem, daje to przepyszne futro tyle poszukiwane na targach rosyjskich i chińskich; delikatność i połysk sierści nadawały jej cenę najmniej dwóch tysięcy franków.



...wycelował i strzelił...

Towarzysz pana kapitana Nemo podniósł zwierzę, przewiesił je przez ramię, następnie wszyscy znów wyruszyli w drogę.

Godzinę całą szliśmy po piaszczystej płaszczyźnie, która często wenosiła się mniej niż na dwa metry od powierechni morza. Widziałem wtedy własny obraz dokładnie odbity, rysujący się naodwrót, tak że ponad nami widać było taką samą gromadkę, powtarzającą nasze ruchy i giesta, z tą tylko różnicą, że postępowała głową na dół a nogami do góry.

Przy tej sposobności byłem świadkiem jednego z najpiękniejszych strzałów, jaki kiedykolwiek wstrząsnął nerwami myśliwego. Wielki ptak o szerokich skrzydłach wyraźnie z wody widzialny, szybując, zbliżał się do nas. Towarzysz kapitana Nemo wycelował i strzelił, kiedy ptak był już tylko o kilka metrów od powierzchni morza. Rażone zwierzę padło, i ciężarem swoim opuściło się aż do stanowiska myśliwego, który też zabrał zaraz swą zdobycz. Był to wspaniały okaz ptaków morskich.

Ten wypadek nie zatrzymał naszego pochodu. Przez dwie godziny szliśmy to po płaszczyznach piaszczystych, to po łąkach morszczyzny nader przykrych do przebywania. Co prawda, umierałem ze zmęczenia, kiedy spostrzegłem światło, rozpraszające ciemność wód na promień pół mili. Była to latarnia »Nautilusa«. Nim upłynie dwadzieścia minut, mieliśmy być na jego pokładzie, a tam spodziewałem się ohetchnąć swobodnie, bo zdawało mi się, że mój zbiornik dostarcza mi powietrza bardzo już ubogiego. Ale nie liczyłem na spotkanie, które opóźniło nieco nasze przybycie.

Pozostałem o jakie dwadzieścia kroków w tyle, kiedy spostrzegłem kapitana Nemo, wracającego nagle ku mnie. Silną ręką nachylił mię ku ziemi, a jego towarzysz to samo robił z Konselem. Zrazu nie wiedziałem co myślćć o tym niespodziewanym napadzie, ale uspokoiłem się, widząc, że kapitan kładł się kolo mnie i nie poruszał się wcale.

Leżałem więc na ziemi osłonięty krzakiem morszczyzny, kiedy podniósłszy nieco głowę, spostrzegłem niezmierne masy, przemykające się nad nami i rzucające światło fosforyczne.

Krew zastygła mi w żyłach! Poznałem grożące nam olbrzymie ryby żarłoczne. Była to para strasznych rekinów, o wielkich ogonach, o mętnych i szklistych ślepiach; wydawały one światło fosforyczne przez dziurki około pyska poumieszczane. Co za potworne »świecące robaczki«, które potrafią w swych żelaznych szczękach zetrzeć na miazgę całego człowieka!

Na szczęście te żarłoczne zwierzęta nie dobrze widzą. Przepłynęły nie spostrzegłszy nas i musnąwszy zaledwie brunatnemi pletwami; uniknęliśmy cudem prawie niebezpieczeństwa nierównie straszniejszego niż spotkanie tygrysa w lesie. W pół godziny potem, kierując się smugą elektryczną, doszliśmy do »Nautilusa«. Zewnętrzne drzwi stały otworem, a kapitan Nemo zamknął je natychmiast po naszem wejściu do pierwszego pudła. Potem przycisnął sprężynę; usłyszałem działanie pomp wewnątrz statku, i w kilka chwil potem pudło całkiem było próżne. Wtedy otworzyły się drzwi wewnętrzne i weszliśmy do garderoby.

Tam zrzuciliśmy, nie bez trudności, nasze ubiory nurków; następnie zmęczony, upadając ze znużenia i senności, udałem się do mego pokoju, odurzony tą nadzwyczajną wędrówką po głębinach morskich.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Powiadam wam, moiściewy, ze cłek to tak, jak ten wół zaprzągnięty do pługa! Nie moze robić tego co kce, ino to co musi, nie moze zjeść tego, coby kcioł ino to, co ma. I jakze tu nie narzykać na to zatracone zycie, które tak cłekiem kieruje, jak mu się żywnie podoba.

Oj narzykoł też i Bartek Gwizdała, narzykoł! Bywało, postawili mu gospodyni miskę boszcu i donickę zimioków, to jego oskomina zbirała na kluski; dali mu klusek, to on byłby zjod jajeśnicy; dostał jajeśnicy, to mu pachniała spyrecka. I jakosik zawse tak się składało, ze Bartek na co inse mioł ochotę, a co inse gospodyni mu dawali.

Abo i z tą robotą. Przysło lato, słońce zre mało kiski nie wyliżą a tu gospodarz każą iść Bartkowi ze sierpem w pole do zniwa. Cyby to nie lepiej w takie gorąco na boisku w cieniu cepami młócić lub groch łuskać. Ale chyba juz i Poniezus z gospodarzem w zmowie, bo w takie gorąco zyto na polu a nie w stodole. Abo w zimie: ręki ci grabieją, zimno zębami kłapie, toby cłek dla rozgrzania posed z sierpem lub kosą w pole... Nie, wtedy Poniezus ziemię, jakby płachtą, przykrył śnigiem, a ty Maćku woź pniaki z lasa i marznij.

Abo i to słonko, cy ono nie głupie? W lecie, jak gorąco, to ci prazy i smazy a w zimie, to ino wylizie z za Grzelowy choiny i myknie gdziesi, ze go az na drugi dzień ujźrys.

Narzykoł tez Bartek na to zatracone zycie i narzykoł słuśnie, bo jak nie narzykać, kiej wszystko idzie na opak.

Ale od cegoz rozum, a miał Bartek rozum nie bylejaki, więc postanowił sobie w tej bidzie poradzić.

Zeszłej niedzieli opowiadali Matus w karcmie gadkę o jakiemś carnoksiężniku, co mioł taką laseckę, ze jak nią myrdnął, to wszyćko mioł, co ino chcioł. Cemuzby i Bartek nie mógł mieć takiej lasecki? Ba, ale skąd jej tu wziąść? Zasumował się Bartek, po głowie podrapał i w sam raz wpadł na dobrą myśl: »Od cegoz jest Poniezus, jak nie na to, zeby ludziom pomagać?«

Bartek z Panemjezusem zył w zgodzie, bo i jakze? Grzychów ni mioł zadnych, więc śmiało mógł Panajezusa prosić o pomoc, a ze go wysłucha, ani wątpił, gdyz jegomość powiadali, ze kto grzychów nima, to moze być wysłuchany. I skądze mógł Bartek tych grzychów nabrać? Z dziwkami nie grzysył, bo go nie chciały; wódki nie pijoł, bo ni mioł za co; o nicem złem nie myśloł, bo on ta nie prefesur i do myślenia nie zdatny; a ukrad gospodarzowi te ćwiartkę zyta... to cóz to gospodarz mało mają? A zreśtą to było w nocy, to ta Poniezus nie widzioł.

Pirsy raz dopiro Bartek pomyśloł i pomyśloł dobrze, a co wymyślił, zrobił zaraz. Wywrócił ślipia do góry, gruchnął na kolana i zacął się modlić:

— »O, Paniezusie, Ty wis, ze ja choć głupi, ale ucciwy i bidny. Jescem ani razu na Ciebie nie klął, jescem Ci nigdy w swem zyciu nic złego nie wyrządził. Daj mi, Paniezusie, taką laseckę ze cobym chcioł, tobym mioł«.

Tak się Bartek tem proseniem zmordował, bo jesce nigdy tyle odrazu nie nagadał i nie wymyślił, ze az osłabł. I na cóz on miał kiedy duzo gadać, kiej nie było potrzeby. Pytali się go gospodyni: »Będzies Bartek jad zimioki?« — odpowiadał: »Będę«; »Pójdzies spać? — »Pójdę«; — »Pojadeś se? zawse mówił: »Nie!« — Az tu dziś naraz przysło tyle gadać i to jesce do kogo?... do samego Panajezusa - rozumicie? Co to jest Poniezus, Bartek dobrze nie wiedział, ale chyba taki sam wielgi pon jak cysarz, bo go nie widzioł nigdy a i cysarza nie widzioł. A moze i większy, bo do cysarza się ludzie nie modlą, a do Panajezusa nawet ksiądz probosc i pon organista godzinki śpiewają. Ozebrało Bartka strasecnie po takiej pracy, jak modlitwa; mgłą mu zasły ślipia, tak ze wywrócił się jak długi na ziemię.

Lezoł, nie rusając się, dobry kawałek, a gdy się obrócił na drugi bok, zobacył przy sobie taką złociuśką cudowną laseckę. Mało Bartka cosi nie porwało z wielgi uciechy. Doł mu Poniezus o co prosił i teraz ma.

Ale z lasecką przysło nowe strapienie.

Cemby tu teraz się zrobić, bo juści, cem zechce to być moze. A mozeby tak jegomością?

No juści! Juzta chyba najlepi na świecie to ksiendzu! Cy to chrzciny, cy pogrzyb; wesele cy wywód, jegomość zawse szóstki bierą. A jak przyjdzie kolenda, to i garniec owsa i donicka zyta, a za wszyćko grajcar gotowy. A i gospodynię jegomość mają, jak anioł, ino się jej podbródek trzęsie. Choćby la tego samego, toby nie zawadziło popróbować. A robota? Co ci tam za robota, kiej som Bartek widzioł, jak przy ontarzu, to s: jegomość nawet n: ręce som wody nie polewa, ino jem chłopak leje a drugi gagutek podaje do obtarcia.

Spodobało się więc Bartkowi księdzostwo okrutnie. Jedno ino go gryzło, ze ksiądz baby nima. Ale ouwa, wielgie mycyje! Nie będzie baby, to i strapienia nijakiego nie będzie! Nie gadali to gospodarz, ze wszyćko złe z baby wychodzi? Przecie łońskiego roku to Kuba Smyk za cóz posed do hereśtu, jak nie za babę? Sprzetrącał jej tam trochę kości, to sprzetrącał, bo baba jego i prawo do niej miał, ale zeby za to az do hereśtu iść? Abo ten Józek od Bucka, włócył się z Kaśką i włócył a teraz musiał sprzedać morgę gruntu, zeby jej lamentacye zapłacić. I nie jest ze to baba niescęściem wszyćkiego?

Najlepi więc to jegomością, bo z babami nie ma kłopotu.

Wziął Bartek laseckę do ręki, wywinął nią i pedzioł.

— »Chce być jegomością!«

Ze ino Bartek słowa te wypowiedział, nogi się mu skurcyły, brzusek zaokrąglił, wąsięta z pod nosa uciekły i zrobił się z niego jegomość.

Już pocął rozmyślać, coby se kazać swojej gospodyni przynieść jeść; spyrki cy klusek, az tu ktoś go ciągnie za kabat i prosi, zeby jechał do chorego. Rozgniewał się Bartek okrutecnie, bo przecie nie po to chcioł być księdzem, coby do chorych jeździć, ino po to, coby dobrze jeść, dobrze pić, szóstki brać a nic nie robić. Chycił laseckę do garści i krzyknął:

— »Idź z Panemjezusem, bo cię lunę! Już ja ta takiem księdzem nie kce być«.

Ino wyrzyk te słowa, nogi się wydłużyły, brzusek ścieńcoł, wąsiska wyrosły i z jegomości zrobił się nazad Bartek.

No dobrze, kiej przestał być księdzem, to moze ostać organistom. To takze osoba duchowna, a moze jesce ważniejsa jak jegomość. Przecie i jegomość nie śpiewają, jak jem organista nie zagra, a robota jesce lzejsa, bo nie trza ani do chorych jeździć, ani co. Wylyzie ino na chór, rusa i rusa palcamy, a organy bucą grubo bu-u-u, albo cieniuśko pi-i-i. A cy to taka śtuka palcami rusać; przecie to nie młócić. Jak weźnie dobrze naciskać na organy, to tak pięknie zagra, ze az usy będę boleć. A jedzenie? Ouwa! Z gospodynią będzie zył dobrze, jegomości po rękach pocałuje, to mu tam i spyrki dadzą i rondelek wylizać pozwolą.

Wziął znowu Bartek laseckę do ręki, zakręcił i powiedział:

— »Chce być panem organistą!«

Jak ino to pedzioł, nogi się mu wydłużyły, brzuch jesce bardzi ścieńcoł, syja stała się podobną do gęsiej, a gęba rozserzyła się, jak plebańskie wrota, a wąsy drugie tyle podrosły i był w som raz pon organista.

Już Bartek mioł myśleć, coby tu zjeść: klusek cy spyrki, ale przysed grubarz i woła go, zeby sed do kościoła grać. Naklął Bartek, ale cóż było robić, iść musiał.

Posed Bartek, niby teroz pon organista, na chór; wyśli jegomość do ontarza; grubarz zakalikował. Z razu nie wiedział Bartek, kaj się naciska organy, aby grały, ale tu pomacoł, tam pomacoł i organy zagrały strasecnie. Musiało się to jegomości podobać okrutnie, bo co trocha odwracali się od ołtarza, wyciągali ręce i gębą krzywili. Bartek kuntentny coraz bardziej przyciskał organy obydwoma ręcami, aż mu grubarz nie mógł podolić kalikować.

Jak się msa skońcyła, posed Bartek na plebanię, bo myślał, że go jegomość za takie piękne granie, choć półkwaterkiem pocęstują. Ale do bani z takiem jegomością! Jak ino przysed, tak jegomość prask go w pysk i powiada:

— »Kiej nie umis durniu grać, nie bądź organistą«.

Od poświącanej osoby poświącaną ręką w pysk dostać, to ino honór, ale kiedy Bartek miał złotą laseczkę to się ta bez honoru obejdzie, byle miał wygodę i dobrą wyzyrkę. Zreśtą, jak się o bicie rozchodzi to już Bartek wolałby bić, jak być bitym. W takim razie to juz chyba najlepiej zostać prefesurem.

Padacie — prefesur to wielga rzec, to nicem oficyr. Jego musi słuchać i Kaśka od Walka, i Zośka od Mateusa, i Franek od Ignaca a nawet Magda wójtowa! Siędzie se w takiej duzej izbie na krzesełku, załozy nogę na nogę, trzcine weźmie do ręki i ucy, A cy to taka śtuka ucyć?! Dzieci cytajcie i, u, i, u. i, u!... a jak które nie chce cytać, to go przejedzie trzciną i jest...

Wywinął więc Bartek swoją złotą laseczką i pada:

— »Nie kce być panem organistą, ino prefesurem«.

Co ino to powiedział, wąsiska mu jesce bardziej opadły, grzbiet się pochylił, z kieseni wylazł koniec zatabaconej kraciastej chustecki i był prefesur.

Posed Bartek do skoły. Dziecisków się nasło jak bobu i chciał zacąć ucyć. Ale jak tu ucyć, kiedy sam nie wiedział, która jaka litera, bo zadna prawie niepodobna do ludzi. Jedna, to nieprzymirzając, jak potrącony pies, ma ino trzy nogi, a insa, to stoi, jak bociek na jednej łapie.

Wziął Bartek lamentarz do ręki i dziwuje się, co tu tego, a kazde inakse. Śmich go ozebroł, bo była tam litera, co miała ino jedne nogę i głowę, ale bez syi. Insa znowu tę nogę miała u góry, a brzuch tam gdzie nogi.

Nie chciało się mu juz patrzyć na te paskudztwa, az tu nowe zobacył bezeceństwo. Zaraz na pirsem obrazku ujzrzoł jakąsi pannę z dwoma dzieckami, a bez chłopa.

Naklął Bartek okrutecnie, bo mu juz i oddychanie dzieci zacęło w nosie kręcić i pedzioł:

— Do choroby z takiem prefesurstwem!

W tej chwili z prefesura zrobił się Bartek.

Popatrzył na swoją złotą laseckę i zasumował się okrutecnie, ze mu zaden jenteres nie chce iść dobrze. Podrapał się bidak pod pazuchą i powiada, że najlepiej to chyba być leśnicą. Leśnica to juz nad nicem nie potrzebuje myśleć. Zastrzeli jakiego gada w lesie i zaniesie do zyda, to mu tam juz ten dokumentnie objaśni, co to jest. Jak da dwie szóstki, to pewnikiem będzie zając, a jak da dwie korony to...... Ho, ho, Bartek nie głupi! Zyd ta za zająca nie płaci koronami, a kiedy tyle zapłacił, to ocywiście był to rogac, a nie zając.

A próc tego, ile to w lesie chodzi dziwek rozmaitego gatunku! Tej odbierze jagody, tamtej grzyby i będzie mioł jedzenia, ile będzie chciał a i na innych rozrywkach wszelakiego rodzaju mu nie braknie.

Az się Bartek roześmiał z uciechy.

Zakręcił lasecką i pedzioł:

— Chcę być leśnicą, takiem cyrwonem, tłustem leśnicą? Chce strzylać rogace i odbirać dziwkom jagody!

Ino to powiedział, gemba się mu zacerwieniła, brzusek się podniósł, az kamizelka pękła, a na głowie wyrósł kapelusik z ptasim ogonem; zaś na plecach fuzyja.

Cem duchu posed Bartek do lasa na zające i dziwki.

Ino wsedł do lasu ujzrzoł zająca z długiem ogonem i spiczastymi rogami. Zdjął strzelbę z pleców i akuratnie trafił w łapy Baśkę od podwójciego, co zbirała poziomki.

— O, psia jucha, pomyślał Bartek, teraz przyjdzie pewnikiem siandar i zabierze mnie, wsadzi do hereśtu i kaze płacić lamentacyje. Niech ten kto głupi będzie leśnicą, ale Bartek takiego bezeceństwa się nie dopuści.

Jak juz być cemś porządnem to najlepiej chyba siandarem. Jego to nikt nie hareśtuje, on moze co noc spać pod insą pierzyną w insy wsi. Jemu wójtowa i jajeśnicy usmazy i spyrki ugotuje a kazda wójtowna dałaby mu coby sam chcioł.

Siandar to wyzsa figura, jak ministyr. Pana Boga się teraz ludzie niebardzo boją, a siandara to kazdy. Józek Wrzeciono, co to jeden w całej wsi swojej baby się nie boi, przecie przed siandarem ma strach, choć wiele nie ukrad, ino sklepikarzowi połeć spyrki i parę kiełbas.

Ej zeby to Bartek był siandarem, toby mu je odebrał i miałby bal.

A od cegóz lasecka!?

Myrdnął nią Bartek i w tej chwili stał się siandarem. Zaraz wybrał się do Józka Wrzeciony po spyrkę i kiełbasę.

Ale niescęście, gdzie ono się przypląta, zawse jest niescęściem.

Bartek, niby siandar, musiał przechodzić koło Walkowego stawku. Poźrzoł więc do wody i tak się przeląkł sam siebie, ze się az obudził......

Dopiro teraz Bartek spenetrował dokumentnie, że to wszystko o tej lasecce to się mu ino śniło, ale był kontent, bo poznał, ze mu najlepiej być tem cem go Pon Bóg stworzył, to jest Bartkiem Gwizdałą.

Kuzden stan, kuzdy zawód ma swoje przykrości, jak kuzdy chłop ma swoją babę, co go tłuce.

KRONIKA.

Grunwaldzki numer „Roli“, który dziś wydajemy, posiada 24 strony drukowane, z 20 obrazkami, licząc w to ozdobną ramkę z herbami polsko-litewskiemi na pierwszej stronie.

Do każdego numeru, dołączony jest bezpłatnie nasz podarunek grunwaldzki, o którym piszemy na stronie 6 *Roli*.

Redakcya nie szczędziła dużych kosztów, aby ze swej strony przyczynić się do upamiętnienia rocznicy i dać czytelnikom sposobność do podniesienia ducha w dniu dla narodu uroczystym. Prosimy naszych kochanych czytelników, aby po przeczytaniu numeru nie odrzucali lecz dawali innym do czytania.

Piękny wiersz poświęcony rocznicy grunwaldzkiej napisany przez miłego wszystkim poetę ludowego Ferdynanda Kurasia zmuszeni jesteśmy odłożyć z powodu braku miejsca.

Koronacya Matki Boskiej Cudownej w Kochawinie. Ksiądz proboszcz Jan Trzopiński ogłasza następującą odezwę:

»Jest gorącem pragnieniem wszystkich czcicieli Maryi, by jak najprędzej mogła się odbyć koronacya cudami wsławionego obrazu. W tym celu odniosłem się do wiernych z uprzejmą prośbą o łaskawą pomoc do przeprowadzenia tej przepięknej uroczystości. Mam niezłomną nadzieję, że wszyscy dobrej woli zajmą się gorliwie zbieraniem centowych ofiar, a licznych, ofiar łez, cierpień, ciężkiej pracy tych, którzy spożywają w pocie czoła czarny kawał chleba, oblany łzami. Ci, którzy nie mogli zbierać ofiar, zwrócili odezwy, o co uprzejmie w tychże prosiłem, lecz takich bardzo mała liczba. Przeważna część zatrzymała i tych wszystkich gorąco proszę, by ile możności pospieszyli się z tą sprawą, abym roboty mógł posunąć naprzód i w roku 1912 przeprowadzić koronacyę. Kto się nie może sam zająć składką z jakichkolwiek powodów, raczy dać słudze lub jakiemu biedakowi, niech pomiędzy swemi zbierze po 2, po 4 halerze i zapisze ich, bo te ofiary nędzy, łez i cierpień będą Matce Najśw. najmilsze, a nam i ojczyźnie drogiej najprędzej wyjednają miłosierdzie, błogosławieństwo i rozerwanie więzów niewoli.

»Dziękuję wszystkim serdecznie, którzy już pospieszyli z ofiarami nietylko na koronacyę, ale także na »Przytulisko sierot«, a tych, którzy dotąd nie mogli się zająć składką lub czekali na stosowny czas, proszę bardzo o pośpiech lub też o łaskawe zwrócenie odezwy, tem więcej, że dużo się zgłasza i prosi o przesłanie im kilka odezw, że pragną z całą ochotą przysłużyć się temu zbożnemu dziełu. Prześliczne i do łez wzruszające są listy oraz życzenia od wielu i przesyłanie najrozmaitszych drobiazgów z biżuteryi przez najbiedniejszych. — Bóg zapłać wszystkim!«

Pielgrzymka do Częstochowy, na uroczystość św. Anny wyjdzie w dniu 22 lipca b. r. poraz czwarty z kościoła OO. Reformatów w Krakowie, aby oddać cześć Najśw. Panience na Jasnej Górze za doznaną krzywdę i zniewagę świętokradzką. Przewodnik Jan Faran, Kraków, ul. Pędzichów 8.

Grunwald na wsi. Piszą nam z Radłowa: I nasza okolica uczciła godnie wiekopomną rocznicę. W Borzęcinie urządzono obchód grunwaldzki za staraniem p. F. Zbyszeckiego, kierownika szkoły; zaś w Kwikowie za staraniem p. Stanisława Roga, tamtejszego kierownika szkoły. W Kwikowie odegrało nauczycielstwo miejscowe sztukę sceniczną p. t. »Rycerze Jadwigi«, której zebrani włościanie słuchali z przejęciem. Również w Niecieczy odbył się uroczysty obchód.

Uczta umarłej. Niedaleko Miechowa, w guberni kieleckiej, żył w pewnej wiosce żydek, któremu od dłuższego czasu żona chorowała. Trapił się biedak, już nie tem tak bardzo, że chorowała, ale że zadługo chorowała. Pewnego dnia żydówka zaczęła konać. Żyd, nie chcąc długo trzymać trupa w domu, pobiegł prędko do Miechowa z prośbą do bractwa żydowskiego o zabranie i pochowanie zwłok zmarłej.



Przybywszy na miejsce, bractwo weszło do izby »zmarłej« i zastało »trupa« siedzącego i zajadającego smacznie. Okazało się, że przed odejściem żydka, który myślał, że żona już konająca i, że nim wrócić zdoła, ta już umrze, żydówka tylko smacznie zasnęła i poczęła chrapać. Wyspawszy się dobrze, wstała prawie zupełnie zdrowa i poczęła zajadać. Można sobie wyobrazić zdziwienie obydwojga i awanturkę małą potem. No, ale to bywa wszędzie.

Rozhukane woły. Gdy przyjdą dni upalne, suche, wylęga się wtedy ogromna masa różnych uprzykrzonych owadów, które dokuczają ludziom i zwierzętom. Człowiek używa różnych sposobów, bydlę zaś próbuje najpierw oganiać się ogonem, a gdy to nie pomaga, podnosi ogon w górę i pędzi naprzód siebie, co sił w nogach.



Przed paru dniami zdarzył się na Węgrzech, na tamtejszych ogromnych pastwiskach tragiczny wypadek. Oto na pasące się stado wołów spadła niejako cała chmura owadów zwanych gzami, i poczęła ciąć niemiłosiernie bydlęta. Te, oszalałe z bólu, rzuciły się do ucieczki, która niewiele pomagała. Woły bodły rogami, co napotkały, rzucały się po ziemi i ryczały niemiłosiernie. W czasie tej walki z gzami potratowały kilka osób, które nie usunęły się im na czas z drogi. Wszystko uciekło w popłochu.

Obrazek nasz przedstawia napad tych owadów na stado wołów, które rozbrykane, rozpoczynają swą szaloną ucieczkę. Obok, w kółku, jest taki giez znacznie powiększony, gdyż w rzeczywistości jest on tak wielki, jak kreska znajdująca się pod nim.

Byk o sześciu nogach. Zdarza się często, że tak ludzie jak i zwierzęta przychodzą na świat z jakiemiś niewłaściwościami. Mają więc albo zadużo, albo zamało członków, bywają zrośnięte dwie istoty ze sobą itp. Po największej części istoty te żyją za ledwie dni kilka, bo jako nienormalne żyć dłużej nie mogą. Rzadko bardzo, ale przecież zdarza się, że istota taka dożyje późnego wieku i swoim wyglądem zarabia bez przerwy na wygodne życie.



Do takich właśnie nadzwyczajnych okazów należy byk o sześciu nogach, własność pewnego obywatela w Niemczech. Byk ten ma cztery nogi, jak każdy porządny byk, ale oprócz tego na grzbiecie ma jeszcze dwie nogi, jakby dwie ręce, ale zakończone racicami. Byk chowa się dobrze, jest zdrów i »dobrze mu się powodzi«.

Co miłość może? Pewien doktor opowiadał w Petersburgu następujące zdarzenie: W mieście Hamburgu w tamtejszym szpitalu leżał chory pastor luterski. Pastora odwiedzała bardzo często jego 17-letnia córka nadzwyczajnej piękności. Równocześnie w tym samym zakładzie leżał także młody lekarz, nawiedzony trądem. W nim zakochała się córka pastora podczas wizyt u ojca. Prosiła tego ostatniego, by ją połączył węzłem małżeńskim z wybranym. Wszyscy, znając nieuleczalność i zaraźliwość tej choroby, starali się ją odwieść od tego zamiaru. Ojciec robił co mógł, aby jej wyperswadować ten szalony zamiar. Ale miłość i współczucie owładnęły zupełnie młodą dziewczyną. Pomimo, że słabość młodego doktora już była bardzo rozwinięta, i ze nie można było nawet myśleć o tem, by wyzdrowiał, upierała się przy swym zamiarze, by zostać jego żoną. Narzeczony kochał ją zanadto, by ją pociągnąć za sobą na pewną śmierć. Ojciec dziewczyny i kierownik zakładu napierali również i na niego, by się nie zgodził na małżeństwo. Ale wszystkie starania pozostały bezowocnemi! Dziewczę nie odstępowało od zamiaru poślubienia narzeczonego. Groziła w przeciwnym razie samobójstwem. »Jej miłość — twierdziła — i jej poświęcenie uratują mu życie«. Wtedy dopiero ojciec, aczkolwiek z ciężkiem sercem, udzielił swego pozwolenia. Ponieważ sam był pastorem, dokonał aktu ślubnego w sali, która dotychczas widziała tylko straszny trąd. Dziwnem jest, że młode małżeństwo przepędziło kilka miesięczy w zakładzie w szczęściu i zadowoleniu. U młodej kobiety nie występowały oznaki tej ciężkiej słabości. Trwało to jednak zaledwie trzy miesiące. Po tym czasie, gdy już wszyscy mniemali, że młoda żona pozostanie przy zdrowiu, wystąpiły ciemne plamy na skórze. Chory mąż badał ją trwożliwie przez cały czas i starał się uchronić od zakażenia przez dezynfekcyę. Gdy jednak zobaczył pewnego poranka plamy, zwiastuny tej nieuleczalnej choroby, zamknął się z żoną w swym pokoju. Gdy ich nie widziano do wieczora i gdy nie dali odpowiedzi na pukanie i pytania, wyważono drzwi. Biedni ludzie, widząc, że razem żyć nie mogą, chcieli choć razem umrzeć, odbierając sobie życie przez otrucie się.

Widocznie nie mieli, chociaż chrześcijanie, dostatecznej wiary i ulegli cierpieniu.

Jaskółki giną. Smutne wiadomości nadchodzą z Włoch, Hiszpanii i Francyi. Oto w tym roku w całej Francyi nie zauważono ani jednej jaskółki, to samo we Włoszech. Jaki jest powód tego wymierania tych ślicznych ptasząt? Jedni uczeni przypuszczają, że jakaś choroba, jakaś zaraza, tak je zmiata. Drudzy mówią, że to ludzie je tak wyniszczyli, mianowicie we Włoszech, gdzie łowią je sieciami i tysiącami odrazu zabijają. W każdym razie od istnienia jaskółek zależy zdrowie rodzaju ludzkiego, bo jaskółki niszczą miliony much i komarów. Od komarów zaś zależy rozmnażanie się u nas febry stałej czyli malaryi, od much zaś rozmnażanie się tyfusu, raka, szkarlatyny, dyfteryi, ospy czarnej i t. d. Im więcej much i komarów, tem większa śmiertelność ludzi, im więcej więc jaskółek, tem mniej much i komarów, a ludzie mniej umierają. Tymczasem właśnie liczba jaskółek stale się zmniejsza, a w tym roku tak raptownie zmniejszyła się w Europie, że przeraziło to uczonych i przyrodników. Należałoby więc, żeby ludzie po wsiach starali się otoczyć jaskółki jak największą troskliwością.

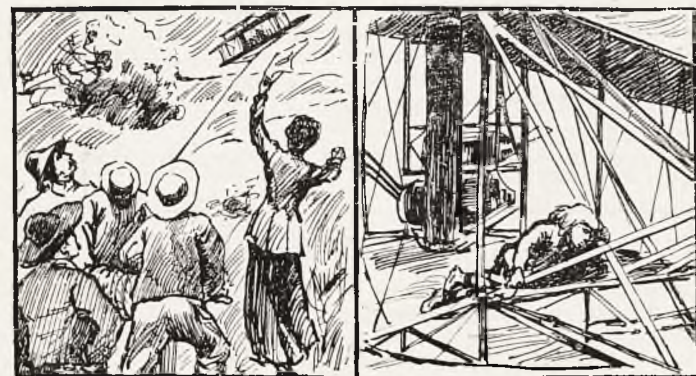
Okropny wypadek kolejowy. Na małej kolejce między Frankenthal a Ludwigshafen zaczepiła lokomotywa o gałęzie czereśni, wskutek czego pociąg osobowy dłuższy czas się zatrzymał. Zdarzenie opisał do gazety pewien chłopczyk bardzo zabawnie, w całkiem dziecinny sposób, a mianowicie:



»Wypadek kolejowy. Popołudniu w niedzielę ubrałem się w suknie świąteczne. O godz. 2 poszedłem na stacyę. Kupiłem bilet. Musiałem czekać do 2 godziny 35 minut. Naraz przyszedł pociąg. Wsiadłem. O godzinie 2 minut 52 pociąg ruszył. Wyglądałem oknem. Widziałem wiele świń na pastwisku. Jadły trawę. Pastuch spał na ziemi. Niektóre prosięta biegały koło niego. Na drodze obok toru rosło wiele czereśni. Z czereśni zwisały ku ziemi grube gałęzie. Naraz lokomotywa zawadziła o gałąź. Pociąg zatrzymał się. Przestraszyłem się. Wiele ludzi pobiegło do okien. Myślałem: Może kogo przejechało? Pociąg stał bardzo długo. Wysiadłem. Wiele ludzi wysiadło także i pobiegło do drzewa. Ludzie przypatrywali się bardzo długo. Konduktor był rozgniewany. Jedni ludzie śmiali się, inni gniewali. Pewien kolejowy robotnik wyskoczył na pole. Wielu chłopców zbierało dojrzałe czereśnie, które spadły na ziemię. Konduktor był rozgniewany i mówił im, Idźcie precz! Naraz wszyscy chłopcy rozbiegli się szybko. Robotnik kolejowy chciał gałęź odłamać ale gałąź była za gruba. Konduktor rzekł do jednego

z chłopców: Zawołaj chłopa, aby gałęź odrąbał. Potem przyszedł chłop z toporem i odrąbał gałęź. Chłop był smutny. Poszedł z gałęzią do domu. Niektórzy chłopcy zrywali dojrzałe czereśnie z gałęzi i jedli je. Chłop był rozgniewany i bił chłopców kijem po plecach. Mimo to czereśnie spadały a chłopcy jedli. O 4 godzinie 21 minut pojechał pociąg dalej. Moja matka powiedziała mi w domu: Czemuś tak późno wrócił? Odpowiedziałem: Pociągowi przytrafił się okropny wypadek kolejowy!«

Trzy pełne przerażenia godziny przeżyli rodzice pewnego czteroletniego chłopczyka, który jako nieroztropne dziecko wsiadł na aeroplan swojego ojca. Rzecz miała się jak następuje: Mechanik francuski Abergarty, zbudował nowy aeroplan, którym wkrótce miał wykonywać próby lotu w powietrzu. Gdy już wszystko było gotowe i mechanik udał się do aeroplanu, aby odbyć wzlot, zobaczono, że aeroplan szybuje w najlepsze w powietrzu.



Nastąpiło zdziwienie okropne, po którem przyszło jeszcze większe przerażenie, gdy z góry usłyszano krzyk dziecka. Domyślono się natychmiast, że chłopiec, wszedłszy na maszynę, poruszył nieostrożnie korbę i wprawił przyrząd w ruch. Mimowolny żeglarz powietrzny poznawszy, co się dzieje, narobił krzyku i tem dał znać o sobie.

Rzucono się malcowi na ratunek i chciano aeroplan przyciągnąć za linę zwisającą z niego, lecz naprożno. Silniejszy wiatr wyrwał linę z rąk a aeroplan poszybował dalej. Trzy godziny krążył w powietrzu, nim zawadził o drzewo i stanął w swym biegu. Skorzystali z tego rodzice i zdjęli dziecię, na szczęście zdrowe i całe.

Od czego zależy charakter dziewcząt? Od dawna ludzie starają się udowodnić, że charakter człowieka zależy od planety pod jaką się kto urodził. Oczywiście są to brednie, którem wierzyć nie trzeba, bo charakter ludzki zależy od jego wychowania, a nie od planet. Dla uciechy jednak naszych pięknych Czytelniczek przytaczamy starodawne przepowiednie pewnego astrologa, który powiada, że charakter dziewczyny zależy od miesiąca w którym się rodzi. A więc astrolog ów twierdzi:

Jeżeli dziewczyna urodzi się w styczniu, to będzie roztropną gospodynią, często zamyśloną, lecz będzie miała dobrą naturę.

Jeżeli w lutym, to będzie ludzką, kochającą żoną i czułą matką.

Jeżeli w marcu, to będzie lubiała dużo mówić i będzie kłótliwą.

Jeżeli w kwietniu, będzie niestałą, nie bardzo mądrą, ale za to ładną, (co dzisiaj dobrze popłaca).

Jeżeli w maju, będzie piękną i przyjemną, a przytem prawdopodobnie szczęśliwą.

Jeżeli w czerwcu, będzie popędliwą, płochą i pójdzie rychło za mąż. (Jeżeli ma duży posag, przypisek drukarza).

Jeżeli w lipcu, będzie dość piękną, lecz nieporządną.

Jeżeli w sierpniu, będzie miłą i praktyczną i prawdopodobnie dostanie bogatego męża.

Jeżeli we wrześniu, będzie przezorną, uprzejmą i bardzo lubianą.

Jeżeli w październiku, będzie zarozumiałą i nieznośną.

Jeżeli w listopadzie, będzie szczodrą, dobrotliwą i łagodnego usposobienia.

Jeżeli w grudniu, będzie miała ładną figurkę, będzie ciekawą nowin, a więc zaprenumeruje *Rolę*, a wskutek tego będzie naprawdę mądrą.

Oczywiście mogą tu być wyjątki, niech się więc kochane Czytelniczki nie smucą, choćby się nawet która w październiku urodziła, bo wtedy ona należy... do wyjątków.

Jednonogi skoczek. Wiadomo powszechnie, że człowiekowi, posiadającemu nawet dwie zdrowe nogi, przeskakiwanie wyższych przedmiotów przychodzi z niemałą trudnością. I nic dziwnego, bo ciężar człowieka i gęstość powietrza nie pozwalają na to, aby mógł swobodnie odbijać się wysoko od ziemi. Zdarzają się wprawdzie wypadki, że ten i ów potrafi wyżej wyskakiwać, ale potrzebuje do tego poprzedniego, dłuższego ćwiczenia. Zadziwiającym jednak być musi, gdy chłopak, posiadający tylko jedną nogę, potrafi skakać jak zając. A obecnie właśnie popisuje się w różnych okolicach taki jednonogi skoczek. Przeskakuje on na jednej nodze rowy, żerdzie, a nawet jak to widać na naszym obrazku, dość wysokie płoty. Za swoją sztukę zbiera obfite grosze i może śmiało powiedzieć, że nogą zarabia na chleb powszedni.

Dziadowska szkoła. Że każdy kształcić się ciągle musi, zrozumieli to nawet żebracy w Londynie. Założyli oni bowiem umyślną szkołę do uczenia się na dziadów i nazwali ją szumnie »akademią«.



Kandydaci na dziadów schodzą się w oznaczonych godzinach na naukę, gdzie tę »wiedzę« wykłada »profesor« Rooney. Szczyt zuchwalstwa stanowi jednak porozlepiany w ostatnich dniach afisz, zachwalający, że w tej akademii można nauczyć się żebrać w przeciągu czterech lekcyi. — U nas szkół dziadowskich niema, ale dziadów co niemiara, a na odpustach aż przykro patrzeć... Są tam i biedne kaleki co pracować nie mogą, ale są i wydrwigrosze.

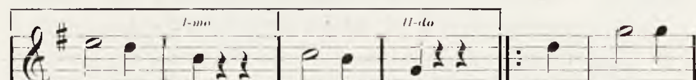
DWIE PIOSENKI

nadesłane przez p. Rafała Szołdrę z Rzeszowa, podajemy naszym czytelnikom do zaśpiewania w wolnej chwili, gdy będą zgromadzeni w gronie przyjaciół i sąsiadów, by odpocząć po ciężkiej pracy.

Jak długo w sercu naszem...



Jak długo w ser - cu naszem choć kropla
Jak długo w ser - cu naszem o - gni - sta



polskiej krwi miłość tkwi Stać będzie



kraj nasz ca - ły Stać będzie Piastów gród Zwycięży



orzeł bia - ły zwy-cię-ży polski lud.

Jak długo z wież wawelskich
Grzmi Zygmuntowski dzwon,
Jak długo z gór karpackich
Rozbrzmiewa rzewny ton,
Stać będzie kraj nasz cały,
Stać będzie Piastów gród,
Zwycięży orzeł biały,
Zwycięży polski lud.

Jak długo święta wiara
Orzeźwia naszą krew,
Stać będzie Polska cała,
Bo Polak to jak lew.
Stać będzie kraj i t. d.

A z naszem wywłaszczeniem
Ma Prusak nowy trud,
Bo tam w wozie Drzymały
Żyje nasz wolny lud
Stać będzie kraj i t. d.

„Cztery rzeczy".



Cztery rze - czy w Polsce słyną, Stara piosnka



stare wino Miłość doświadczona i uczciwa żo - na.

Cztery rzeczy w Polsce sławne
I każdemu miłe oku:
Koń pod bokiem broń przy boku, } dwa razy
Stroje i zwyczaje dawne.

Cztery rzeczy w Polsce znane:
Pług i kosa na ugorze,
Szable w ogniu hartowane } dwa razy
I pieśń ludu „Święty Boże".

Cztery rzeczy Polskę zdobią:
Szumne bory, łany żytnie,
Ludzie, którzy w pocie robią } dwa razy
I miłość co krwawo kwitnie.

Ile siły, bracia moi,
Zachowajcie tę spuściznę,
Bośmy wszyscy jedni swoi } dwa razy.
Radzi umrzeć za Ojczyznę.

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA.

Pływa to po wodzie, a nie żyje przecie,
Znają ją rybacy — dźwiga ich na grzbiecie.

2. SZARADA.

Pierwsze coś posiada, drugie płótno robi,
Cała dla swych dzieci jedzenie sposobi.

3. ŁAMIGŁÓWKA.

Wyszukać nazwiska sześciu miast, których początkowe litery dałyby nazwisko siódmego miasta.

Za dobre rozwiązanie zagadek z tego numeru przeznaczamy dwie nagrody do wylosowania: jedną dla prenumeratorów *Roli*, drugą dla tych, którzy nie są prenumeratorami, lecz dobre rozwiązanie w oznaczonym czasie nadeślą. Nagrodą za rozwiązanie dla prenumeratorów będzie piękny, kolorowy obraz M. Szczurowskiego p. t. **„Tryptyk grunwaldzki"** mający 108 cm. długości a 42 cm. wysokości, nadający się do oprawy. Dla szczęśliwego wybrańca losu będzie on stanowił prawdziwą ozdobę w domu. Jako drugą nagrodę, dla nieprenumeratorów wyznaczamy dwutomową powieść W. Łozińskiego p. t. **„Zaklęty dwór"** do wylosowania. Termin nadsyłania rozwiązań do 24 lipca b. r. Adres: **Kraków, ul. św. Tomasza l. 32. Redakcya *Roli*.**

Rozwiązanie zagadek z nru 27 podamy za tydzień, gdyż obecny numer musieliśmy drukować wcześniej, wobec czego jeszcze nie wszystkie rozwiązania nadeszły.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. P.: Józef Kasprzyk w S.: Owszem, numera *Roli* od początku roku posiadamy na składzie i kto nadeśle 4 K. prenumeraty za rok 1910 posyłamy je natychmiast opłatnie. Na drugie pytynie: Cośmy drukowali w pierwszem półroczu? — trochę trudna, bo zadługa odpowiedź. Wymienimy choć co zgrubsza, a więc: Z powieści dłuższych: *Krzyżacy na Litwie* (większą połowę), *Wzrok ofiary* (całą powieść ozdobioną około 60 obrazkami) i *Tajemnice morza* (początek powieści z obrazkami w liczbie 11). Powiastek krótszych i legend, często z obrazkami, drukowaliśmy 30; wierszy najlepszych naszych poetów ludowych: Jantka z Bugaja, Ferdynanda Kurasia, Piotra Lipowiaka, Roberta Rydza i innych około 40. Oprócz tego umieściliśmy *w Roli* w pierwszem półroczu wielką ilość rozmaitych artykułów ciekawych i pouczających, żywotów świętych i t. p. Gdy do tego dodamy »Historyę polską w obrazach« (17 obrazów i 17 artykułów), 50 większych obrazków z odpowiednim tekstem i około 160 obrazków umieszczonych w kronice, to przedstawi się wynik naszej pracy, jakim nie poszczyci się żadne pismo na świecie przy tak niskiej prenumeracie. Aby niczego nie pominąć dodamy, że »Maciek Bzdura gada« w każdym numerze *Roli*, a że zjednał sobie uznanie czytelników, może udowodnić setkami listów wystosowanych do niego, lub o nim. Za dobre rozwiązanie zagadek drukowanych stale w *Roli* rozdaliśmy w nagrodę 26 książek oprawnych, z których każda kosztowała nas 2—3 koron. Na trzecie pytanie: Co będziemy drukowali w drugiem półroczu? — odpowiemy tylko tyle, że na początku roku ani połowy tego nie obiecywaliśmy, cośmy dali, więc i teraz zaznaczymy, że mniej nie będzie niż w pierwszem, a o ile więcej to sami czytelnicy osądzą. — Wojciech Pyzik w Z.: W wiadomej sprawie udaliśmy się do Wiednia — pomyślny wynik otrzyma pan w tych dniach. — Antoni Dudek w M.: Za zjednywanie nowych prenumeratów gotowiśmy ofiarować pewne wynagrodzenie. Niech pański znajomy napisze do nas, poślemy mu czeki i podamy warunki. Rzecz to nie taka trudna, tylko trzeba trochę obrotności i dobrej woli — wszak jeden z naszych prawdziwych przyjaciół nadesłał nam około 100 prenumerat od osób przez siebie do prenumerowania zachęconych. Zarzutu żadnego nikt mu nie uczyni, bo na dowód może oddać składającemu prenumeratę odcinek czeku, lub recepis; ponadto my zaraz po otrzymaniu prenumeraty potwierdzamy ją w *Roli*. — J. Nowak w K.: Dobrze. — Marcin Wąchal w Z.: Odpowiadamy listownie. — Jan Kozik w D.: Prosimy zaglądnąć do Redakcyi — najpewniej można zastać od godziny 5 do 6 po południu, z wyjątkiem świąt i niedziel.

Dalszy ciąg odpowiedzi na listy otrzymane w tym tygodniu, z powodu wielkiego nawału pracy przy niniejszym numerze i braku miejsca, oraz potwierdzenie otrzymanych prenumerat, umieścimy wyjątkowo w następnym numerze.

Rozszerzajcie wszędzie „Rolę"
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły!

ROMAN ZMORSKI.

BAŚŃ O SOBOTNIEJ GÓRZE.

(Z opowiadań ludowych śląskich).

Poczciwa jedna staruszka, wdowa, miała trzech synów, których niezmiernie kochała. A był każdy z tych synów innego rzemiosła.

Najstarszy był przy parafialnym kościele organistą, wielce mądrym i uczonym, że czytał na każdej książce i z pisanego — i podobnoć, że samby mógł kantyczki składać. Był przeto w wielkiej powadze u wsi całej, ba! i u samego plebana.

Drugi, średni, sługiwał wojskowo i był rycerz bardzo zacny; tułając się zaś po różnych krainach, napatrzył się i nasłuchał niemało takowych rzeczy, o których nikt dotąd doma jako żyw nie słyszał, i przeto także miał szacunek ludzki, jako rozumny a wojenny mąż.

Najmłodszy brat był sobie po staremu chłopem, orząc ziemię w pocie czoła, jako ojce jego przedtem, i niewiele dbając ani na mądrość brata organisty, ani na nowiny żołnierza: dlaczego też u obydwu w niewielkiej stał cenie i głupcem od nich zwan był.

Wszyscy zaś trzej bracia, jako poczciwi synowie, płacili za miłość matce wzajemną serdeczną miłością, starając się dnia każdego, by radość i wszystko dobre było z nią w starości jej.

Aż oto dnia jednego stało się nieszczęście: niebogą starowinę porwały w nocy boleści niezmierne, od których, jęcząc, pobudziła synów, że zbiegli się do jej łoża, wielce strapieni i trwożni, a co począć niewiedzący.

— Jużno ja tutaj przy matce zostanę i czuwać będę nad niemi; a wy jeno bieżcie co żywo do *mądrej,* w lesie u starej mogiły, by przyszła chorej z pomocą! — rzekł do braci organista.

Oni tedy górą, dołem, biegli do starej mogiły, do spustoszałej chaty, gdzie *mądra* mieszkała, i, znalazłszy babę, wiedli w skok do wioski. Kiedy byli blizko domu, aźci organista stoi przed wrotami.

— A co? jak matce? — spytali.

— O! juźci lepiej być musi, bo przestali całkiem jęczeć, leżą cichutko w łóżku, pewnie śpią....

Baba weszła do chałupy, stanęła koło łoża, dotknęła ręki staruszki i rzekła, kiwając głową:

— Iścież waszej matce lepiej, a nic nie boli już jej, bo oto cała skostniała, widać chwila, jak już zmarła.



Na te słowa w chałupie powstał lament niesłychany. Wszyscy trzej synowie zawodzili jęki, tłukąc głowami o ścianę i rękoma rwąc do krwi ciało tak okropnie, że aż baba, co jako żywa nigdy jeszcze żalu takiego w ludziach nie widziała, zlitowała się nad nimi.

— Ha! jeżelić tak straszny po matce wam żal, toć wiem jeden jeszcze sposób wrócić ją do życia; będzie tylko który chciał narazić własnego żywota? Pomódz jej może choćby kropla żywej wody, co za trzema puszczami bije na Sobotniej Górze, z pod gającego drzewa, na którem siedzi zaczarowany sokół. Zajść i nazad powrócić, stanie na to siedm dni czasu; ale wielu już chodziło, żaden zaś dotąd nie wrócił z tej drogi. Kto chce wnijść na wierzchołek góry, musi iść prosto przed siebie, bądź co bądź spotkałby na drodze albo za sobą posłyszał, broń Boże jeden krok w prawo, lub krok jeden w lewo zboczyć, albo spojrzeć poza siebie; w tej chwili wrośnie kamieniem do ziemi. A jest na owej górze pokus i strachów niemało, tak że nikt jeszcze, jako ona stoi, do wierzchu dojść nie potrafił. Chceli który z was szczęścia próbować? Niechajże pójdzie przynieść stamtąd wody, a matka wasza żywa będzie znów. Droga do góry za południem słońca.

Ledwie baba za drzwi wyszła, bracia dalej z sobą w radę. Każdy zarówno rad był iść w drogę na przeciwko wszystkim strachom, byle wskrzesić zmarłą matkę; lecz średni brat się odezwał:

— Słyszeliście, moi bracia mili, że w tej podróży trzeba nielada odwagi: iścież tedy mnie ona przypada. Jać, com już nieraz zajrzał śmierci w oczy, pewno się byle czego nie zlęknę i choćby dyabłu kroku dostoję. Dajcież mnie, że tam pójdę, a w tydzień oczekujcie powrotu mojego, z żywą wodą naszej matce.

I, pożegnawszy braci, przypasał wielki miecz do boku swego i puścił się w świat, idąc za południem słońca...

Minął dzień jeden, i drugi, i trzeci, wreszcie tydzień się ku końcowi miał. Bracia w domu pozostali wyglądają niecierpliwie; żołnierza znikąd ni widu, ni słychu. Gdy tydzień z górą już minął, biegli do baby po radę, czemu tak długo brat ich nie powraca.

— Daremnie go czekacie — odpowie im mądra baba — już on więcej nie powróci. Stoi on teraz na Sobotniej Górze, kamieniem w ziemię wrośnięty...

Zafrasowali się okrutnie bracia, a powracając do domu, sporzyć się ze sobą wzięli, któremu teraz iść w drogę po żywą wodę dla matki? Lecz organista rzecze z urąganiem:

— Co? ty? — ty, głupcze! tybyś miał tam wskórać, gdzie twój brat nie wskórał? Lepszej tam głowy potrzeba, żeby się nie dać zwieść szatańskiej mocy. Jać to wiem dobry sposób na dyable pokusy: niechno tam tylko pójdę z kropidłem, a zaklnę biesa po łacinie, zobaczysz, czy mi podoła!

I wziąwszy na się kropielnicę z kościoła, w rękę kropidło, książkę za nadrę, ruszył za południem słońca...

Znów minął dzień, drugi, trzeci — tydzień cały; brat młodszy próżno wypatrywał z chałupy za swoim najstarszym; ni go widu, ni go słychu... Biegł tedy znowu do baby po radę, co znaczy, że brat nie wraca?

— Daremnie za nim nie czekaj! — odpowiedziała mu baba — już on więcej nie powróci. Stoi on teraz na Sobotniej Górze, kamieniem w ziemię wrośnięty.

Zafrasował się syn wdowi bardzo nad brata wtórego utratą; ale niewiele myśląc, biegł co tchu do domu i wziąwszy bułkę chleba do opałki, kosę sobie nastaliwszy, przewiesił je przez ramiona i poszedł ku południowi słońca.

Szedł jeden dzień, drugi, trzeci dzień; przez trzy rzeki się przeprawił, przez trzy wielkie przeszedł bory; na trzeci dzień o zachodzie słońca, stanął pod Sobotnią Górą. Stanąwszy, pojrzy: aż tu

góra niezmierna, że wierzchu za chmurami nie widać, dźwiga się stromo ku niebu, a za nią ze wszech stron las czarny. Ogromne dęby, sosny, buki, jodły, jakby jedno na drugiem wyrastało; sterczy drzewo ponad drzewem, coraz wyżej, coraz wyżej. Pomiędzy niemi, na ziemi, gąszcz cierni, głogów i ziół jadowitych, rumowiska skał ogromnych, zielone całe od wilgotnych mchów, pośród nich żmij, padalców, gadów całe gniazda wiją się i syczą okropnie... Strach spojrzeć, cóż dopiero iść tam! a znikąd ścieżki, ni drogi...



Wdowi syn podumał chwilę, wspomniał na matkę swą martwą i, wziąwszy Boga na pomoc, począł się drapać ku górze. I darł się coraz to dalej, nie dbając na ostre skały, na żmije co mu nogi obwijały, kąsając żądły bolesnemi; ani na zielska trujące, co mu szarpały ciało kolcami i do ust same się cisnęły obmierzłym, śliniącym swym owocem. Niedaleko jeszcze uszedł, aliści jedną razą słyszy za sobą wołanie:

— Hej! hej! człowieku! a gdzie to idziecie? Zbłądziliście, nie tędy droga!

Już, już co się miał obejrzeć: szczęściem przypomniał sobie słowa mądrej baby i, nie dbając na owo wołanie, szedł prosto przed siebie. Za chwilę, po lewej ręce, zjawi się przy nim drugi podróżny, kuso z niemiecka ubrany.

— Dzień dobry — rzecze kusy, zdejmując grzecznie trzyrożny kapelusz — a dokąd to, przyjacielu?

– Juści że nie gdzie, jeno na tę górę — odpowie syn wdowi.

— A czego to wam trzeba?

— Idę nabrać żywej wody.

— A no! to nam jedna droga, bo i ja także idę za tą wodą. Idźmyż razem ze sobą, będzie nam weselej.

— Jak sobie chcecie.

— Ale nie tą przecie drogą! Poco tu drzeć się i krwawić, kiedy, spojrz na lewo, wygodnie drogą iść można.

Wdowi syn spojrzał na lewo i w rzeczy samej zobaczył wygodny, gładki jak stół gościniec, lekko ślimakiem wijący się ku górze.

— No, chodźże na drogę! — nalegał Niemczyk.

— Idź sobie sam, kiedy chcesz; ja pójdę tak, jak zacząłem.

— Ależ pójdź bo!

— Mówię ci, że nie pójdę.

— To idźże sobie, głupcze, na złamanie karku! — Zazgrzytnął z wściekłością Niemczyk, odskoczył w stronę i zniknął...

Wdowi syn piął się, jak począł, przed siebie, aż wtem posłyszy za sobą nagle trzask i hałas nie słychany, szczekanie, wycie, jakby tysiąca sfór psów i wilków, i szczwanie dyabelskim głosem: huź go ha! huźha! huźha!... Coraz bliżej, coraz bliżej dogania go ujadanie straszliwej psiarni, już to za nim, już oto za nogi go chwyta... Tylko co się miał obrócić, kosą się od nich odegnać, alić wspomniał sobie na rady mądrej i, zamiast po za siebie, dał przed się krok żywo. W tej chwili wrzask, trzask, szczwanie, szczekanie ucichło; tylko śmiech długi, rozgłośny z wichrem zaszumiał po lesie...

Jeszcze nie zdążył ochłonąć z przestrachu, a oto już idzie strach nowy. Razem, wśród ciemności nocnej, taki od wierzchu góry blask uderzy, jak gdyby słońce, co już dobrze zaszło, znów na jej szczycie wschodziło. Zdziwiony, podniesie głowy i widzi, że las calutki, co na jego drodze stoi, płonie w jednym płomieniu, aż całe niebo goreje od łuny, jakby od słonecznych zórz. Im bardziej zbliżał się ku niemu, tem bardziej płomień rósł i buchał; gorąco, jeszcze zdaleka, poczęło go piec, a przed oczyma jego ogromne drzewa puszczy, jak rozpalone głownie w kominie, całe roziskrzone, padały z trzaskiem jedna na drugą, grodząc przed nim drogę.

Na ten widok ogarnął go strach okropny; lecz kiedy wspomniał na swą martwą matkę, zapomniał wszelkiej trwogi i rzucił się w bór ognisty. I choć w żarzewiu nogi do kolan mu grzęzły, dech gorąco zatykało, dym czarny oczy mu wyżerał, szedł na oślep poprzed siebie: aż cały zziajany, poparzony, bez tchu prawie, przedarł się wreszcie za to piekło ogniste i lżej nieco odetchnął.



Wyszedłszy, spojrzy przed siebie: aliści i wierzch już blizki! Lecz gdy raz wtóry spojrzy znów ku górze, radość się rychło w kłopot i smutek zmieniła, kiedy zobaczył skałę, jako ściana prostą, sterczącą wśród drogi swojej. Dopiero gdy wejrzy raz trzeci, widzi, — tuż u spodu skały czerni się ogromna jama, a u wnijścia jej śpi, chrapiąc, straszny, siedmiogłowy smok... Wdowi syn zcicha podkradać się począł, chcąc we śnie groźnego potwora zabić.



Ale smok, skoro ludzkie kroki posłyszał, zerwał się ze snu na nogi, zaryczał wszystkiemi siedmioma paszczami, aż się wstrząsła góra cała, i kła-

piąc strasznie zębami, ziejąc siarczyste płomienie, szedł przeciw niemu. On też, nie czekając, poskoczył naprzeciw bestyi: siedm razy kosą świsnął, — a ciął, to padnie łeb smoczy i krwią pluszcząc, w dół się toczy... Kiedy ostatni łeb odpadł, wdowi syn wszedł w jamę smoczą.

Smocza jama była straszna, ciemna, aż czarno, siarczystego dymu pełna, a ciągnęła się tak długo, jakby końca nie miała. Biednemu wędrowcowi język w ustach kołem stanął, przyschły do podniebienia od pragnienia i duszącego paru.

Wtem, kiedy się na poły żywy ledwie wlecze, z boku, z rozpadliny skały ujrzy jasność wpadającą i zaleci go woń cudna. Spojrzał ciekawie i oto widzi ogromną jaskinię, jak gdyby kościół największy, a w niej ogród przecudowny, majową trawą pokryty, pełny róż i lilij wonnych. Na murawie drzewa różne, z rumianemi owocami, chylą się ku srebrnej strudze... Zgłodniałemu, spragnionemu, ślina do ust płynęła, więc co żywo odwróciwszy oczy, szedł dalej, co sił starczyło.

Aleć dalej znów ze ściany skały jasność go uderzy i przez wązką rozpadlinę widać niezmierną pieczarę. Złota lampa, na złotym łańcuchu, paliła się u sklepienia, a wokoło ścian stoją ćwierci, korce, kadzie całe, napełnione po wierzch srebrem, złotem, klejnotami najdroższemi. Ale wdowi syn nie był chciwy; ani się więc kusząc skarbami temi, przeszedł pomimo nich dalej.



I znów, ledwie wyszła chwila, posłyszy cudną muzykę i śpiew, jakby stu słowików, a przez rozwarte naoścież w boku opoki podwoje, świeci się sala złocista. Wśród niej, po miękkich kobiercach, dziesięć dziewic urodziwych, w przeźroczystych jak mgła sukniach, pląsa po cudnej muzyce, przyśpiewując sobie. Gdy młodzieńca obaczyły, wstrzymały się w tańcu, i jedna, co najcudniejsza, podbiegłszy ku podwojom, poczęła się doń wdzięczyć mile. Ale młodzieniec pozostawił we wsi swej dziewczynę, liliję białą, ukochaną serca: więc gdy sobie na nią wspomniał, zasłonił ręką oczy i poomacku szedł dalej, aż przyszedł do ogromnych drzwi stalowych, zamykających jaskinię. Zaledwo ich dotknął ręką, drzwi rozwarły się z łoskotem i on wyszedł na dzień biały, na sam szczyt Sobotniej Góry.

Stanąwszy, spojrzy ciekawie po wierzchołku góry i widzi wszystko, jak mu rzeczone było. Na nagiej, by dłoń, opoce, rośnie jedno tylko drzewo, ze srebrzystemi listkami, któremi szumi tak dźwięcznie, jakby sto lir razem grało; z pod krzywych korzeni drzewa tryska źródło jasnej wody, a na najwyższej gałęzi sokół się chwieje złocisty.

Złoty sokół, zaledwie zobaczył młodzieńca, radośnie strzepnął brzęczącemi pióry, roztoczył skrzydła i wzleciał do góry, aż gdzieś znikł między chmurami.



Wdowi syn, cały z sił spadły, ledwie że się podołał zawlec pode drzewo i, upadłszy na opokę, począł pić chciwie z krynicy. Alić ledwie jej usty tylko dotknął, jakby nanowo na świat się narodził, poczuł w całem swem ciele wracające siły, a wszystkie rany, w drodze odebrane, tak się zagoiły, że po nich śladu najmniejszego nie zostało. Zerwał się tedy wesoło na nogi, i stanąwszy pode drzewem, przy jasnem, porannem słońcu, co się właśnie podnosić jęło na niebie, spojrzał z wysokości na świat boży. Wokoło góry pola, lasy, wody, wioski, zamki, grody wielkie, takiem mnóstwem, że nie zliczyć, leżały jakby jeden obraz malowany, a tak cudny, że zda się, patrzeć na niego sto lat całe, nie napatrzyłby się jeszcze dosyć.

Gdy upojony tym widokiem, obwodzi oczyma, posłyszy nad sobą szum skrzydeł i sokół złoty, ze złotym dzbanem w dzióbie, z wysoka spadł mu na ramię. Drzewo o srebrnych liściach zaszumiało głośniej, a w śpiewie jego dały się słyszeć te słowa:

»Weźmij dzban ten chłopcze młody!
Naczerp z zdroju żywej wody,
Gałąź ze mnie sobie złom,
I powracaj zdrów do dom.
A gdy będziesz do dom iść,
W żywej wodzie maczaj liść,
Kędy krokiem stawisz nogę,
Święć dokoła sobie drogę«.

Posłuszny wezwaniu temu, syn wdowi wziął dzban złoty, naczerpał w niego przeźroczystej wody, ułamał sobie z śpiewającego drzewa gałąź o srebrzystych liściach i począł spuszczać się z góry. Jako mu zaś było powiedziane, co krok stąpił, stawając, maczał gałąź w żywej wodzie i kropił nią dookoła siebie.



I oto stał się przed nim dziw niesłychany! Gdzie tylko kropla wody upadła na kamień, z kamienia zaraz żywy stawał się człowiek i, radując się i błogosławiąc mu, szedł za nim... Im niżej spuszczał się tak, święcąc, tem bardziej za każdym krokiem rosła ćma ludzi z kamieni odklętych; a gdy, stanąwszy u stóp góry, obejrzał się poza siebie, ujrzał idący tłum wielki, jako największe wojsko.

Byli to wszystko ludzie, którzy, idąc różnemi czasy na Sobotnią Górę, nie doszedłszy wierzchu, w kamień obróceni zostali. Byli zaś tam mężowie i niewiasty, starce i dzieci, panowie i żebracy, i także obaj szczęśliwego chłopka bracia: rycerz z mieczem koło bioder i organista z kropielnicą a kropidłem... Cała ta gromada poczęła dziękować razem zbawcy swemu, że ich uwolnił z zaklęcia, coby zapewne aż do sądnego dnia trwało, ślubując mu, iż go nigdy już nie odstąpią, ale wszędy za nim pójdą i póki życia służyć mu będą.

Szli zatem wielkim taborem, za wiodącym ich młodzieńcem, aż na dzień trzeci zaszli do wsi, w której mieszkał. Stanąwszy pod chałupą swoją, otwarł drzwi, podszedł ku posłaniu matki i martwe od trzech niedziel zwłoki pokropił gałązką mówiącego drzewa, zmoczoną w żywej wodzie... A oto, nie czekając chwili, staruszka otwarła oczy i powstała rzeźwa, jak gdyby nigdy nie chorzała. Radością szczęśliwego syna rozradowali się wszyscy i nie było miary uniesieniom i uciesze zgromadzonego mnóstwa...

Tymczasem, na miejscu lichej owej wioszczyny, stanęło rychło ludne i okazałe miasto, a w pośród niego zamek pyszny, w którym syn wdowi, pojąwszy swoją dziewczynę w małżeństwo, żył szczęśliwie, panując mnogiemu i wdzięcznemu ludowi...

Tak kończy się piękna baśń, którą lud polski wysnuł ze swej duszy, a zbożny poeta spisał na papier.

Matkę - Ojczyznę wskrzeszą tylko synowie pełni poświęcenia, którzy nieustraszeni, wytrwałością i mając dobro Matki na oku, cnotliwie a nabożnie odpędzać będą wszelkie pokusy złego.



5

Kosy Nr. 000.

Karpackie kosy Nr. 000. z marką »Kośnik« z angielskiej stali srebrno - stalowe, mają cienkie jak papier, lekkie jak pióro ostrze, które tnie jak brzytwa najtwardszą psiankę, t. j. górską trawę i zboże. Co tylko dostanie się pod nie, przecinają za jednym zamachem na stopę, bardzo nieznacznie zużywają się i ciężką pracę wieśniaka do połowy ułatwiają. Przyjemna i lekka praca w polu sprawia radość każdemu wieśniakowi, dlatego każdy powinien kosić tylko **karpackiemi, srebrno - stalowemi kosami** z marką »Kośnik«. 71—6-10

Zamawiający musi przysłać 4 kor. zadatku, bez zadatku nie wysyła się nikomu. Kosy Nr. 000, z najlepszej angielskiej stali, najlepsze w całym świecie: Mniej niż 5 kos nie posyła.

Długość w centymetrach:	65	70	75	80	85	90	95	100
Cena za 1 sztukę kor.:	2·10,	2·20,	2·30,	2·40,	2·50,	2·60,	2·70,	2·80.

Na każdych 10 kos, daję 1 kosę darmo i do każdej kosy daję bruśnik marmurowy z najlepszej płyty. — Mniej niż 5 kos nie wysyłam. — Kto chce mieć **11 tureckich kos i 11 najlepszych brusików**

przy długości centym.	65	70	75	80	85	90	95	100
Koron:	21·—,	22·—,	23·—,	24·—,	25·—,	26·—,	27·—,	28·—.

Sierpy zębione z angielskiej stali dobrze rżną zboże i tak lekko przecinają, że nie czuć ich w rękach. Jedn. sztuka 60 halerzy. Kto zamawia 10—20 sztuk, dostaje 2 sierpy darmo. — **Kamienie (brusiki)** do ostrzenia kos 50 hal. za sztukę. Kto zamawia 10 sztuk dostaje 1 darmo. Młotki do klepania kosy 1 kor., kowadełko do klepania 1 kor. Proszę zamawiać pocztowymi przekazami, ażeby na listy i kartki nie tracić niepotrzebnie pieniędzy.

ALEKSANDER KOPACZ Strutyn wyżny Poczta Rożniatów.

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia »Roli«.

Zjednoczone austryackie akcyjne Towarzystwo żeglugi parowej

AUSTRO-AMERICANA

regularna i bezpośrednia



regularna i bezpośrednia

Komunikacya z Austryi do Ameryki i Kanady.

ROZKŁAD JAZDY:

a) Z Tryestu do Nowego Jorku:

Eugenia . . . . . . 16 lipca
Oceania . . . . . . 23 „
Columbia . . . . . 30 „
Martha Washington 6 sierp.
Argentyna . . . . . 20 „
Oceania . . . . . . 10 wrześ.
Alice . . . . 17 „
Martha Washington 24 „

b) Z Tryestu do Argentyny przez Rio de Janeiro:

Alice . . . . . . 7 lipca
Sofia Hohenberg . 28 „
Laura . . . . . . 18 sierp.
Francesca . . . 8 wrześ.
Columbia . . . 29 „

Informacyi udzielają i sprzedaż kart okrętowych uskuteczniają

dla zachodniej Galicyi i Bukowiny:

Kraków: JENERALNA AJENCYA AUSTRO-AMERYCANY (Goldlust i Ska. Biuro spedycyjno - komisowe) ulica Lubicz 7 naprzeciw dworca kolejowego.

dla Galicyi wschodniej:

Lwów: BIURO PASAŻERSKIE AUSTRO-AMERYCANY Na Błonie 2. oraz wszystkie prowincyonalne ajencye, następnie

Tryest: Dyrekcya Austro-Ameryk., Via Molin Piccolo 2,

Wiedeń: Biuro pasażerskie Austro - Amerykany, II. Kaiser Josefstr. 36. (56-22-24)

Ja Anna Csillag

z moimi **185 centymetrów** długiemi **olbrzymiemi włosami** Loreley, dostałam je po **14 miesięcznem** użyciu **przezemnie wynalezionej pomady.** Uznano ją za jedyny środek przeciw **wypadaniu** włosów, **wzmożeniu wzrostu** tychże, wzmocnieniu skóry owłosionej, wywołuje **u Panów** pełny **silny zarost brody** i użycza już po krótkiem użyciu tak **włosom na głowie** jakoteż **na brodzie** naturalnego **połysku** i **obfitosci** i chroni przed **przedwczesną siwizną** aż do najpóźniejszego wieku. Żaden inny środek nie posiada tyle materyi odżywczej dla włosów co pomada Csillag, która zupełnie słusznie zdobyła sobie światową sławę, gdyż Panie i Panowie już po użyciu pierwszego słoika pomady osiągają najlepszy skutek, ponieważ już po kilku dniach włosy nie wypadają a nowe rosną. (67—7-30)



Cena słoika 2 K., 4 K., 6 K., i 10 K. Pocztowe przesyłki codziennie po nadesłaniu należytości, albo **za zaliczką** na cały świat z mojej fabryki, dokąd nadsyłać zamówienia.

Anna Csillag, Wien I. Kohlmarkt 11.

KARTY OKRĘTOWE!

Polskie Towarzystwo Emigracyjne otrzymawszy od rządu potrzebną koncesyę, otworzyło w Krakowie (narazie **ul. Kolejowa L. 3**) własne

60—13

BIURO PODRÓŻY

gdzie sprzedawane są karty okrętowe do wszystkich portów zamorskich, północnej i południowej AMERYKI. Wychodźcy, zwracający się do tego biura, otrzymają rzetelną poradę i unikną wyzysku i strat.

Założone dla opieki nad wychodźcami Polskie Tow. Emigracyjne w Krakowie ułatwia znalezienie pracy w kraju i zagranicą i w tym celu utrzymuje bezpłatne biuro pośrednictwa pracy; opiekuje się ono także wychodźcami udającymi się za morze, pouczając ich, kiedy, jak, którędy i dokąd jechać należy, i w tym celu utrzymuje bezpłatne biuro informacyjne w sprawach wychodźtwa zamorskiego i koncesyonowane biuro podróży; dla Polaków przebywających na obczyźnie utrzymuje przy głównem swem biurze bezpłatną wypożyczalnię książek; wydaje własną gazetę, poświęconą sprawom wychodźtwa p. t. „Polski Przegląd Emigracyjny"; utrzymuje bezpłatnie biuro porady prawnej dla wychodźców, ułatwia im nabywanie książek, wypisywanie gazet, zakładanie towarzystw oraz załatwianie rozmaitych spraw w kraju, utrzymuje własne biura za granicą, wydaje przewodniki po obcych krajach i słowniki cudzoziemskich języków, ułożone dla użytku polskich robotników itd. itd. P. T. E. jest instytucyą bezpartyjną, mającą na celu wyłącznie dobro polskiego społeczeństwa i polskich wychodźców. Kto więc udaje się na obczyznę lub wyjeżdża do Ameryki, powinien przedewszystkiem zwrócić się do

POLSKIEGO TOWARZYSTWA EMIGRACYJNEGO w Krakowie ulica Kolejowa 3.

Na dworcu kolejowym krakowskim stale przebywa przy nadejściu pociągu wysłaniec Towarzystwa w uniformie z literami P. T. E..

Bartek: Oj panie cyrulik! Już mi pan trzy zdrowe zęby wyrwał, a bolący ciągiem siedzi.
Cyrulik: Bądźcie cierpliwi! Przecież i do niego kiedyś dojdę!

W SĄDZIE.
Sędzia: Czyś sam popełnił tę kradzież?
Złodziej: Sam, panie sędzio, bo teraz trudno o uczciwego wspólnika.

Kapral: Teraz jesteś żołnierzem i powinieneś bronić ojczyzny oddając za nią krew.
Icek: Panie kapral, ja będę bardzo bronić, ale bez krwi.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.